

ISSN 0080-3480



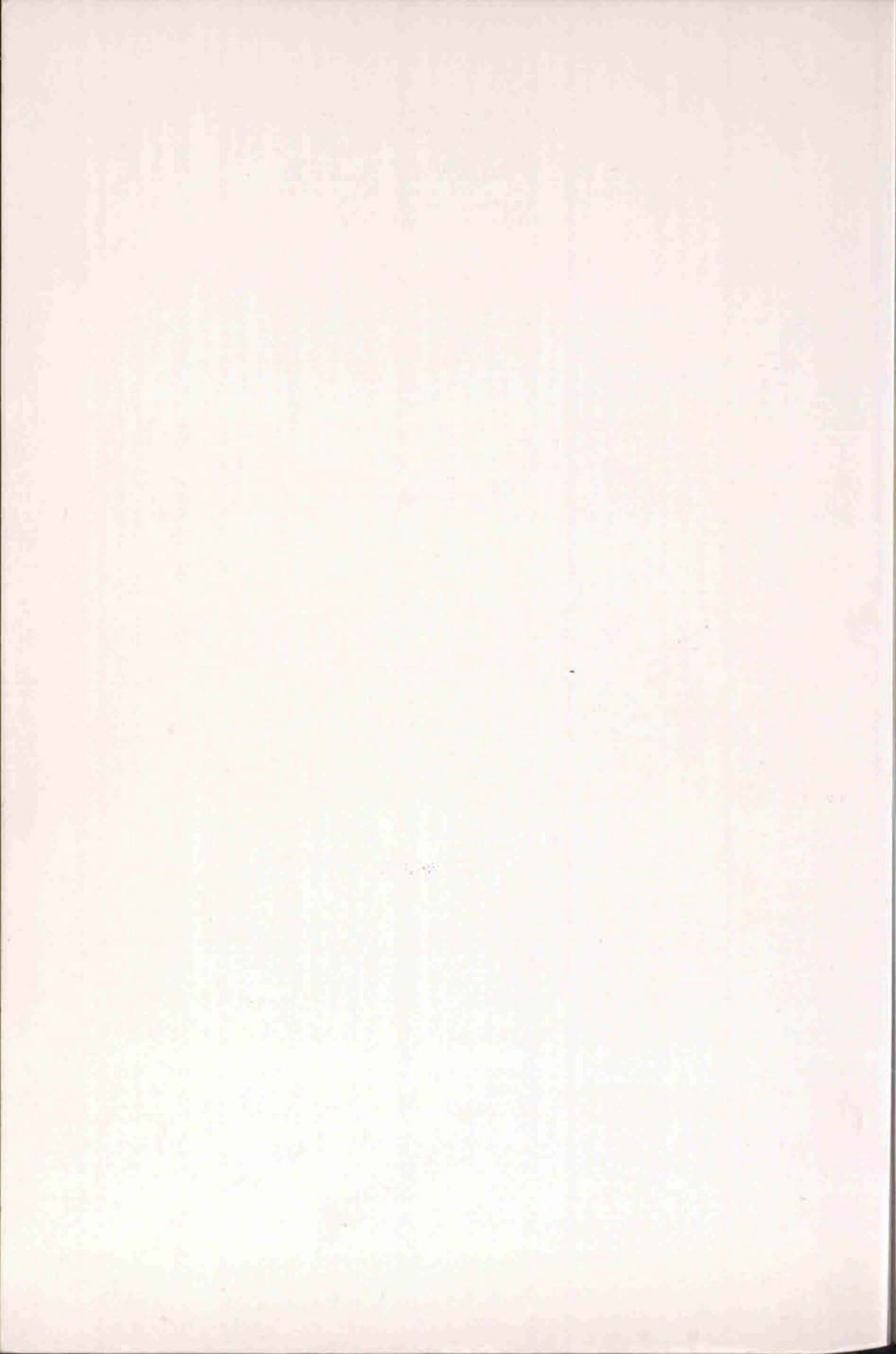
# ROZNIK JELENIOGÓRSKI

PISMO REGIONU KARKONOSZY

XLVI suplement 2014



IANA Z JASIEŃCĄ WYCIECZKA W GÓRY  
(WSPOMNIENIA)



Jana z Jasińca  
Wycieczka w Góry  
(Wspomnienia)

Z Wycieczki w Karpaty w XIX wieku

JANA Z JASIENCA  
Wycieczka w Góry  
(Wspomnienia)

wydanie I. Kraków 1902 r.

ROZNIK J

1091

BISMARCK REGION

SUP

2026 -02- 11

THE HISTORY OF THE  
CITY OF BOSTON  
(Continued)

Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry

Z Wrocławia w Karkonosze w XIX wieku

JANA Z JASIEŃCA

Wycieczka w Góry  
(Wspomnienia)

wstęp i oprac. Krzysztof R. Mazurski

**ROCZNIK JELENIOGÓRSKI**

tom XLVI 2014

PISMO REGIONU KARKONOSZY

**SUPLEMENT**

Jelenia Góra 2014

ZESPÓŁ REDAKCYJNY  
Stanisław Firszt, Ivo Łaborewicz (redaktor), Janusz Milewski, Romuald Witczak

RECENZENCI

prof. dr hab. Zbigniew Domosławski, prof. dr hab. Henryk Gradkowski,  
dr hab. Grzegorz Hryciuk, dr hab. Jacek Potocki

10 CR.JEL.T.46 supl. / Reg  
WYDAWCA

KSIĄŻNICA KARKONOSKA  
58-500 Jelenia Góra, ul. Bankowa 27



100220629



© Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry 2014



WSPÓŁPRACA



Projekt jest współfinansowany ze środków budżetu Województwa Dolnośląskiego

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



**DOLNY  
ŚLĄSK**

[www.umwd.pl](http://www.umwd.pl)



Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu

Institucja  
Kultury  
Samorządu  
Województwa  
Dolnośląskiego



**DOLNY  
ŚLĄSK**

Patron medialny



**DOKiS.pl**

Dolnośląska Kultura i Sztuka  
Agencja Publicystyczna

Adres Redakcji: ul. Bohaterów Getta 2, 58-500 Jelenia Góra  
bądź ul. Piłk. W. Kazimierskiego 3, 58-508 Jelenia Góra, e-mail: [jgora@ap.wroc.pl](mailto:jgora@ap.wroc.pl); [tpjg@op.pl](mailto:tpjg@op.pl)

SKŁAD I DRUK:

„Ad Rem”, 58-500 Jelenia Góra, ul. Okrzei 12, tel. 75 752 22 15

ISSN 0080-3480 ISBN 978-83-914519-2-2

Na okładce: 1. str.: Widok na Śnieżkę z Głębocka, Theodor Blätterbauer, ok. 1885 r. (ze zbiorów Wojciecha Mencla)

## JANA Z JASIEŃCA WĘDRÓWKA W KARKONOSZE

### Uwagi wstępne

Zbyt wcześnie – z uwagi na wiek, talent badawczy i osiągnięcia, odeszły z grona wspaniałych ludzi Ryszard Kincel<sup>1</sup>, wśród swoich pasjonujących odkryć w zakresie historii turystyki śląskiej i sudeckiej zapisał też ujawnienie niepublikowanego rękopisu nr 9771/II, spoczywającego w krakowskiej Bibliotece Jagiellońskiej. Do powrotu doń skłania zarówno dziesięciolecie śmierci tego zasłużonego badacza i popularyzatora, który wiele poświęcił Karkonoszom mieszkając u ich stóp, jak i trzydziestolecie pierwszej publikacji o owym znalezisku. Stanowi to okazję do powtórznego przyjrzenia mu się z poszerzoną analizą i wydaniu w innej wersji – bliskiej oryginałowi, a nie dostosowanej do współczesnego czytelnika, tym bardziej, że w pierwszej opublikowanej wersji zostały opuszczone fragmenty nieodnoszące się do spraw górskich. Pozwoli to na zajęcie się takim odległym już w czasie tekstem i innym specjalistom.

Sam Ryszard Kincel, prostując wiele obiegowych informacji i wyjaśniając nieznanne szczegóły, spowodował pewne niejasności co do swoich działań. Nie mają one większego znaczenia, ale warto ustosunkować się na początku i do tego zagadnienia. Wynika to z dwóch jego tekstów, poświęconych owemu rękopisowi, zatytułowanemu „Wycieczka w góry”, a podpisanemu przez niejakiego Jana z Jasieńca. Chronologicznie pierwszym – według opisu bibliograficznego, był dłuższy artykuł wprowadzający wraz z opracowanym redakcyjnie wspomnieniem, w „Wierchach”<sup>2</sup>. Nie ma w nim wskazówek, kiedy Kincel odnalazł ów rękopis, poza pierwszym odsyłaczem, w którym zamieszcza adnotację o swojej książce „U szląskich wód”, jako znajdującej się w druku. Ta jednak wyszła dopiero w 1994 roku z powodu różnych trudności. Nie jest to więc informacja przydatna dla datowania. Natomiast w drugiej publikacji, zamieszczonej w „Karkonoszach”, zawierającej po ogólnym, skróconym wprowadzeniu, fragment rękopisu dotyczący tylko wędrowki po Karkonoszach<sup>3</sup>, zawarta jest konkretna wskazówka. Autor pisze bowiem, że na rękopis trafił dwa lata temu, więc wynikałoby z datowania, iż w 1985 roku. Ale pierwszy artykuł ukazał się w 1984 roku, w roczniku, który przygotowywany

<sup>1</sup> I. Laborewicz, *Ryszard Kincel (1933-2004)*, Na Szlaku 2004, R. 18, nr 10, s. 19.

<sup>2</sup> R. Kincel, *O sudeckim wędrownictwie polskich studentów Wrocławia w pierwszej połowie XIX wieku (Jana z Jasieńca wspomnienia „Wycieczka w góry”)*, Wierchy 1984, R. 53, s. 121-128.

<sup>3</sup> R. Kincel, *Karkonosze niby Alpy*, Karkonosze 1987, nr 4, s. 9-11.

w Karkonosze. Urodził się on 26.03.1820 roku w Głubczycach z ojca asesora. Po skończeniu gimnazjum w Kłodzku (dla rękopisu nieistotne, dlaczego właśnie tam) Karol Staniek został wpisany 26.10.1838 roku na listę studentów prawa – zapewne pod wpływem profesji ojca, Uniwersytetu Wrocławskiego, niedawno, bo w 1811 roku powstałego z połączenia ewangelickiego uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą z wrocławskim Kolegium Jezuickim. Wkrótce potem asesor Staniek został przeniesiony do Jawora, gdzie zmarł po Zielonych Świątkach 1840 roku. Z niewyjaśnionych przyczyn Karol został 10.09.1840 roku wypisany z wymienionego Uniwersytetu z uzasadnieniem jako chęci przeniesienia się do Berlina.

Najtrudniejszy problem wiąże się z rozszyfrowaniem tożsamości autora rękopisu. Kincel przeprowadził w tym zakresie bardzo interesujące dociekania, uzyskując wiele informacji pośrednich – związanych z Karolem Stańkiem, ale żadnych o Janie z Jasiońca. Ustalił on bowiem, że Staniek mieszkał początkowo przy ul. Szewskiej 51 w domu zwanym Schneekoppe (Śnieżka). To, jak można sądzić, szczególnie motywowało Jana do poznania tej góry, uchodzącej wtedy za... najwyższą w Europie! O ile oczywiście tu mieszkał wśród kilkunastu innych studentów. Brak jednak jakichkolwiek, nawet pośrednich, wzmianek, że tak rzeczywiście było. W czwartym semestrze, a więc prawdopodobnie od lutego 1840 roku Karol mieszkał już na zapewne nieco droższej kwaterze przy ul. Szczytnickiej 31. I tu spisy lokatorów nie ujawniły nikogo o imieniu Jan i nic, co by sugerowało pochodzenie autora, np. przez jakiś związek z Wielkopolską. Tu jednak prawdopodobnie koleje życia zetknęły obu studentów, a ich wzajemne powiązania wskazują na październik 1839 roku jako początek studiów Jana z Jasiońca.

Poszerzenie kręgu poszukiwań miejscowości pochodzenia autora wspomnień też niewiele wnosi. Z kilku miejscowości w Polsce o nazwie Jasieniec najbardziej prawdopodobna wydaje się być ta położona tuż na południowy-zachód od Trzciela, a więc na zachodniej granicy Wielkopolski. Ten region wygląda na najlepiej obeznany przez Jana, pobytującego w Poznaniu lub jego okolicach, skąd przybył na studia do Wrocławia. Może zastanawiać, dlaczego wybrał taką okrężną drogę: może powiązania rodzinne, może chęć przybywania w polskim środowisku, którego już brakowało w okolicach Trzciela? A może w ogóle Jasieniec to nazwa fikcyjna zastosowana w zamiarze jak najgłębszego ukrycia własnej tożsamości?

Pozostał jeszcze trop, do którego Kincel się nie odniósł – w sensie pozytywnym czy choćby negatywnym. Otóż przy spotkaniu z bryczką Jan został przez Karola przedstawiony następująco: „P. L<sup>t</sup>. rodem Polak,” (str. 17). Początkowe „P.” wypada rozwinąć jako *Pan*. A więc „L<sup>t</sup>” byłoby inicjałem nazwiska Jana z Jasiońca. Powiązanie autora rękopisu z towarzyszem jego wędrówki – Karolem Stańkiem, pozwala sądzić, iż immatrykulacja tego pierwszego na Uniwersytecie Wrocławskim nastąpiła na jesieni 1838 roku. Analiza ksiąg osobowych studentów z tych lat (Archiwum UW r. sygn. P234), podających nieco danych, wykazuje, iż w latach 1838-1840 tylko jedna osoba mogła być niewątpliwie Polakiem z nazwiskiem zaczynającym się na literę L. Był to Theodor Libawski, urodzony 12. czerwca 1820 roku w Proskau (Prószków w obecnym woj. opolskim). Został on wpisany w poczet studentów 24. października 1839 roku i wypisany po zakończeniu studiów 13. lutego 1843 roku. Podano też, że ukończył gimnazjum w Opolu. Rzeczywiście, inne źródło wymienia go – wyznania katolickiego (co po części, poza młodością, tłumaczy jego religijną namiętność w tekście pisanym jako dojrzały mężczyzna wieku około

35 lat) na liście tamtejszej szkoły wśród tych, którzy poddali się 27. września 1839 roku egzaminowi maturalnemu<sup>6</sup>. Przemawiały za nim fakt, iż Prószków i Głubczyce dzieli nieco ponad 40 km w linii prostej oraz fakt tak szybkiego i bliskiego nawiązania kontaktów – dodajmy: Polaków, dwóch krajan, w niemieckim niemal powszechnie wtedy Wrocławiu. Zbieżność ta nie wygląda więc na przypadkową. Nic więcej o autorze tej zachowanej sprzed ponad stu sześćdziesięciu lat pracy nie zdołano ustalić, a więc sprawa tożsamości Jana z Jasięca pozostaje nadal niezamknięta, nie wiadomo bowiem z pewnością, czy rzeczywiście Libawskiemu można przypisać przygotowanie rękopisu. Pozostające nadal wątpliwości rozwieją ewentualnie dalsze dociekania nad tą intrygującą postacią.

## Trasa wędrówki

Rękopis wspomina, w formie opisowej, jedynie o kilku wybranych punktach/miejscowościach, jakie przyjaciele odwiedzili. Brakuje natomiast generalnie wzmianek o punktach pośrednich, co rzecz całą czyni nieco zagadkową i intrygującą. Z pewnością wyruszyli oni z Wrocławia wcześniej rano, za cel obierając szczyt Ślęży. Jest to dystans około 35 km, co dla młodych wędrowców – turystów, bo tak trzeba ich wprost nazwać, nie stanowiło żadnego problemu, zwłaszcza z przerwą na śniadanie. I dziś znajdują się tacy, którzy, przykładowo, docierają tam niebieskim szlakiem przez Krobielowice. Zastanawiające jest wszakże, że – jak z opisu wynika (mijając kościół z wysoką wieżą, tj. kościół św. Jakuba, weszli na rynek), dotarli do Sobótki od południa, jakby zataczając łuk od strony Kunowa i Przedzrowic. R. Kincel w przypisie nr 6 do opublikowanego rękopisu wspomina ówczesny trakt o przebiegu Klecina – Tyniec Mały – Małuszów – Gniechowice – Rogów (nadal najbliższa trasa do Sobótki). Dlaczego jednak wędrowcy weszli do południa? Idąc podanym traktem jako pierwszy napotkaliby kościół św. Anny. Wszelako nie odznacza się on wysoką wieżą. Być może upływ czasu wyolbrzymił jej rozmiary. Po południu wchodzi na szczyt – zupełnie nie wiadomo, którędy. Pomedytowawszy przyjaciele schodzą – którędy?, do jakiejś wioski u podnóża Masywu Ślęży, gdzie znajdują nocleg. Zważywszy, że miało się ku zmierzchowi, w rachubę – szli do Jawora, a więc na zachód, wchodzi takie wioski, jak Wiry (niem. Groß Wirau), Mysłaków (niem. Kaltenbrunn) i Sady (niem. Krotzel). Podanie niemieckich nazw jest istotne, jak się za chwilę okaże.

Tu w nocy są świadkami dramatycznego pożaru, w czasie którego towarzyszy Jana z Jasięca bohatersko ratuje z płomieni dziewczynkę. Zmęczeni wydarzeniami obaj długo spali, stąd wypuścili się w drogę dość późnym przedpołudniem. Po kilku godzinach następuje spotkanie z bryczką, która nadjechała od tyłu, co wynika z rozmowy z powożącym nią panem. Pyta on bowiem ich, czy to oni nocowali w Jarocinie, bo tam właśnie dowiedział się o pożarze i tragedii. A jechał z Jawora do Świdnicy wstępując właśnie do tej miejscowości. Wracając ponownie tam wstąpił, widząc już tylko pożarzysko. Współbieżny kierunek przemierzania się turystów i bryczki jest tedy akceptowalny. Co to jest jednak Jarocin? Żadna

<sup>6</sup> *Zu der den 25. und 26. September zu haltenden Prüfung der Gymnasial-Schüler...*, Oppeln 1839, s. 32.

z podsłężańskich miejscowości nawet w najmniejszym stopniu swą niemiecką nazwą, którą można by oddać w takim polskim brzmieniu, nie pasuje. Jedyna zaś, która nadawałaby się do „spolonizowania”, to Järischau, pobrzmiewający wielkopolskim Jarocinem. Wszelako wieś leży w odległości około 25 km (w linii prostej) od Ślęzy, więc niemożliwe jest, aby po długiej wędrówce z Wrocławia przez mocno górzyste wzniesienie dotarli jeszcze o „przyzwoitej” porze na nocleg. Podobnie R. Kincel powątpiewa o dotarciu do miejscowości „po drodze” z Jawora do Świdnicy z tej samej przyczyny (przypis nr 15 w opublikowanym tekście). Natomiast Jaroszów pasuje do wzmianki o zboczeniu z trasy Jawor – Świdnica. Przyjąć tedy trzeba, że albo nazwa wsi, gdzie nocowano i gdzie miał miejsce pożar, jest fikcyjna, albo po ponad piętnastu latach autor, niedbający o takie szczegóły topograficzne, całkowicie przekreślił niemiecką nazwę. Całkiem hipotetycznie można by też przyjąć, że po zejściu ze Ślęzy wędrowcy znaleźli/napotkali jakiś chłopski wóz czy pańską bryczkę lub kilkoma innymi podobnymi pojazdami dotarli aż do Jaroszowa. Powstaje wtedy pytanie: dlaczego ich trasa nie wiodła przez Strzegom – krócej i lepszym traktem? Być może odbyło się to na zasadzie współczesnego autostopu: dokąd jedzie samochód, tam i ja jadę, byle przed siebie. Tak czy inaczej, wygodnie i znacznie szybciej już drugiego dnia młodzieńcy znaleźli się w Jaworze, gdzie Jan z Jasięcia goszczony był przez rodzinę przyjaciela. Nie wiadomo, ile jechali tą bryczką, co uniemożliwia identyfikację miejsca spotkania.

Po jednym dniu odpoczynku, czwartego turyści pojechali karetką pocztową do Jeleniej Góry i stamtąd ruszyli pieszo na Śnieżkę – to odległość do 20 km, też nie wiadomo, którędy, zatrzymują się na nocleg najprawdopodobniej w „Hampelbaude”. Nazajutrz, nasyciwszy się na szczycie wschodem słońca, przez Przełęcz Karkonoską dotarli do źródła i wodospadu Łaby, skąd przyjaciele zeszli na nocleg do Rokytnicy. Stanowi to najmniej 25 km, ale w górach jeszcze nie przystosowanych do turystyki jak obecnie i w stroju odbiegającym od wygody współczesnego wyposażenia wędrowskiego. Uznać więc trzeba ten etap za godny uznania. Szósty dzień, a może i następne – brak tu dookreślenia, młodzieńcy spędzili po południowej, czeskiej stronie Karkonoszy. Gdzie jednak byli, którędy i jak wrócili – nic nie wiadomo. W Jaworze pojawili się w przeddzień Zielonych Świątek i autor spędził tu, sądząc z opisów, kilkanaście dni, aczkolwiek w samym zakończeniu wspomina o kilku dniach.

Brak wzmianek lokalizacyjnych, problem z Jarocinem, o tyle wydaje się dodatkowo dziwny, że Jan z Jasięcia odwiedzał te miejsca po jakimś czasie – kilkunastu latach?, powtórnie, jak świadczy wzmianka ze strony 47. Tak więc od tej strony rękopis jest kopalnią domysłów.

## **Analiza zawartości**

W świetle uwag wstępnych, zaczerpniętych z opracowania R. Kincla jednoznacznie wynika, że opisana wędrówka nie była w tamtym czasie niczym osobliwym ani wyjątkowym. Nie na tym jednak polega wartość na poły literackiego zapisu. Przede wszystkim w okresie do połowy XIX wieku jest to najdłuższy polski opis podróży o charakterze turystycznym (nie jest ważne, że autor nie posługuje się

tym terminem<sup>7</sup>) po Sudetach. Szkoda wszakże, że same góry – choć zawarte są w tytule, zajmują zaledwie ćwierć objętości manuskryptu. Ważne jest co innego, przede wszystkim rozbudowany opis festynu strzeleckiego, rozpoczynającego się w Zielone Świątki, a trwającego cały tydzień. To najpewniej skłoniło Władysława Matlakowskiego do wejścia w posiadanie owego materiału, przecież w tym zakresie bardzo szczegółowego. Kincel wychycił też kilka nowości – w porównaniu do znanych już podobnych tekstów do lat osiemdziesiątych XX wieku, jako to obecność drogowskazów (niewątpliwie turystycznych) w Masywie Ślęży, ofertę kramów w Sobótce czy opis Jawora. Swoje znaczenie poznawcze ma także przedstawienie pożaru w tajemniczym Jarocinie, zachowań ludzi podczas niego i dynamiki dramatu.

Jan z Jasiénca pod względem techniki i słownictwa malowania krajobrazów i przyrody nie odbiega od innych mu współczesnych autorów: bardzo stereotypowe, nasycone religijnymi uniesieniami i moralizatorskimi wtrętami. Są to opisy niby plastyczne, bardzo emocjonalne, ale które można by bez większych przeszkód przenieść na inne obiekty czy panoramy. Natomiast Kincel wyróżnia w tym zakresie dłuższy fragment odnoszący się do Wodospadu Łaby, uznając go za niezwykle sugestywny i najlepszy w polskim piśmiennictwie o Sudetach. Trzeba w pełni przyznać rację tej ocenie – to rzeczywiście niezwykle trafny i piękny opis, dowodzący zarazem posiadania przez jego twórcę jednak pewnego talentu literackiego. Może gdyby więcej nad tym popracował...

Co do manieri terminologicznej i stylistycznej, to należy się odwołać do Jacka Kolbuszewskiego, który owe zagadnienie przeanalizował w kilku pracach, w tym książkowych. Wykazał on bowiem w jednej z nich bardzo silne uzależnienie opisów turystyczno-krajoznawczych od aktualnego kontekstu kulturowego, włączywszy w to i aspekt polityczny<sup>8</sup>. Tak więc należy widzieć pełne romantycznej przesady opisy przyrody z pierwszej połowy XIX wieku, sięgające wręcz egzaltacji, bardziej zwrócone ku eksponowaniu uczuć autora niż odbioru rzeczywistości takiej, jaką ona jest naprawdę. Czytelnik tedy niewiele więc dowiaduje się o faktach i realiach. To wiodło z kolei do kształtowania się, co Kolbuszewski także odpowiednio przedstawił i nazwał, romantycznego kanonu zachowań turystów, nakazującego im odpowiednie zachowania w konkretnych miejscach, na przykład z zastosowaniem wzdychania, modlenia się czy religijnych uniesień. Tak właśnie dokładnie zachowuje się Jan z Jasiénca i taką wizję odwiedzanych miejsc oddaje w swoich zapiskach.

Być może dlatego tak mało konkretnych punktów lokalizacyjnych na trasie, które nie były godne przedstawionych powyżej reakcji – o ile nie zawodziła pamięć. Tylko takie wyjaśnienie tłumaczyłoby brak wzmianki o prymitywnym, ale jednak trudnym do przeoczenia drewnianym domu zwanym „Mooshütte” albo „Mooshaus”, który już w 1837 roku – a więc trzy lata przed bytnością autora, stanął dla potrzeb turystów na polanie pod szczytem Ślęży<sup>9</sup>. Po latach pisząc o tym dodał informację o odbudowanym w 1851 roku kościółku – ale nie o pierwszym tam schronisku, które wzniesiono w tym samym czasie. Czytelnik rękopisu może odnieść wrażenie, że wędrowcy wspięli się na jakąś dziką, bezludną górę –

<sup>7</sup> Bodaj najwcześniej źródłowe słowo w języku polskim użył w 1867 r. ks. Józef Stolarczyk, w zapisce wspominając „Szczyt Lodowaty”, gdzie „jeszcze żaden turista nie był”. Za: B. Chwaściński, *Z dziejów tatarnictwa*, Warszawa 1980 s. 36.

<sup>8</sup> J. Kolbuszewski, *Krajobraz i kultura. Sudety w literaturze i kulturze polskiej*, Katowice 1985.

<sup>9</sup> K. R. Mazurski, *Masyw Ślęży*, Wrocław 2002 s. 68.

co oczywiście tworzy odpowiedni nastrój, który burzy jednak epizod napotkania pary zakochanych schodzących z niej. Nie była więc ona tak niedostępna i kryjąca (w domyśle) jakieś niebezpieczeństwa w jej osiągnięciu.

Zastanowienie musi też budzić opis Jawora, w końcu niedużego, acz malowniczego miasta, wtedy przecież bardzo małego. Można odnieść wrażenie, że Jan z Jasiénca stanął oto przed czymś w rodzaju Carcassonne czy Malborka. Tak go wręcz przytłoczył widok potężnych fortyfikacji. Tymczasem w 1840 roku znaczna ich część już nie istniała. O ile jeszcze ćwierć wieku wcześniej rzeczywiście mogły wyglądać niezmiernie groźnie, zwłaszcza dzięki masywnym bramom wjazdowym do miasta, to za jego bytności sytuacja mocno się zmieniła. Oto bowiem w 1822 roku rozebrano Bramę Legnicką, w dwa lata później – bramy Bolkowską i Złotoryjską, a w 1840 roku – chyba już po wyjeździe tego studenta, skoro o niej wspomina – Bramę Strzegomską. Ocalała jedynie do dziś stojąca jej baszta. Także mury miejskie zostały do tego czasu znacznie zlikwidowane, etapowo od 1822 do 1866 roku. Były to odcinki: zamek – pl. Wolności (nazewnictwo współczesne) – ul. Grunwaldzka – kościół św. Marcina oraz częściowo między ulicami Drukarską a Cichą, w ostatnim zaś etapie przy ul. Chopina, którą połączono z ul. Klasztorną. Obecnie zachowane fragmenty znajdują się w północnej, południowo-zachodniej i południowo-wschodniej części staromiejskiego centrum. Wreszcie uderza brak choćby najdrobniejszej wzmianki o tutejszym kościele Pokoju o tak przecież oryginalnym pochodzeniu i konstrukcji (szachulcowej w dużej świątyni)<sup>10</sup>. Już wówczas cieszył się – właśnie ze względu na te cechy i unikatowość, obok świdnickiego kościoła Pokoju, dość znacznym zainteresowaniem podróżnych. Mimo to, przy w miarę wystarczającym opisie rynku i wzmiance o zamku, Jan z Jasiénca nie poświęcił mu ani jednej linijki. Można jedynie wysunąć przypuszczenie, iż wynikało to ze swoistych konfesyjnych uprzedzeń. Uwzględniając pochodzenie gdzieś z etnicznej (wtedy) jeszcze Polski i narodowość, związaną silnie z katolicyzmem, należałoby go uznać za katolika i to żarliwego – jak świadczą o tym pełne religijnego uniesienia wypowiedzi sformułowane podczas dyskusji, a spiswane przecież nie w młodzięcym, bezkrytycznym i naiwnym okresie życia, ale po około piętnastu latach. To najprawdopodobniej zaważyło, że przebywając w polskiej rodzinie – zapewne o podobnym nastawieniu konfesyjnym, nie uznał za godne poznania, a tym samym późniejszego odnotowania, tak osobliwego obiektu. Nie wykluczone, że i nie zwrócono mu nań uwagi, zwłaszcza że ewangelicki kościół wznosił się poza murami miejskimi na zachód od centrum.

Podobny zabieg, jak w przypadku Ślęży, zastosował Jan z Jasiénca w odniesieniu do Śnieżki, która stanowiła przecież tak ważny cel wędrowni – nie wiadomo, czy celowo, czy podlegając owym romantyczno-przyrodniczym schematom opisów. Na szczycie tym bowiem zabrakło... kaplicy św. Wawrzyńca, stającej tam już od 1653 roku, a która w latach 1824-1850 służyła jako schronisko. Trudno ją nie zauważyć. Zastanawia natomiast dość konkretna wzmianka o wybudowanej solidnej ścieżce na szczyt. Wiadomo, że taka powstała w 1852 roku. Czyżby to także późniejsza wiadomość, jak o ślęzańskim kościółku, swobodnie wkomponowana w tekst?

Niedostatki te, z dzisiejszego punktu widzenia, które można przyjąć jako element zabiegu znanego jako *licentia poetica* (co wyjaśniałoby wiele wątpliwości), są

<sup>10</sup> U. Hutter, *Die Friedenskirche zu Jauer gennant Zum Heiligen Geist*, Lübeck, Verlag „Unser Weg“ 1983.

– jak wspomniano, rekompensowane innymi fragmentami: o strzelcach i pożarze. Zupełnie nie pasują do całości dwa inne, a mianowicie dysputa – bo tak trzeba by nazwać rozwlekłą rozmowę, rozgorączkowanego początkującego studenta ze starszym, posiadającym znaczne doświadczenie życiowe asesorem Stańkiem. Jej pierwsza część dotyczy spraw duchowych, religijnych, w których ten drugi wykazuje pewne umiarkowanie w poglądach, jakby pod wpływem niemieckiego, po większej części rozważniejszego ewangelickiego otoczenia. To jednak temat dla innego analityka. Ciekawsza jest natomiast druga część tej dysputy, która objęła sprawy polskiego narodu i polskiej historii. Dość zdumiewająca – przynajmniej dla autora tego tekstu, jest aktualność niemal wszystkich opinii i poglądów, wygłaszanych przez asesora. Pytania Jana jakby były w istocie pretekstem do wyrażenia stanowiska przez samego autora rękopisu, dodać należy – często surowego wobec własnej nacji. Być może w tym kryje się klucz do wyjaśnienia zastosowania pseudonimu. Ukazywanie prawdy rzadko kiedy bywa przychylnie przyjmowane. Przedstawiany fragment nosi znamiona opracowanego stenogramu. Mało prawdopodobne, by po kilkunastu latach uczestnik owego spotkania tak dokładnie mógł je pamiętać. Nosi to więc znamiona swobodnego co najwyżej rozwinięcia niektórych podniesionych wówczas wątków, dając okazję do literackich zabiegów. Sugerowałoby to też posługiwanie się starożytnymi przykładami, które – przy całym szacunku do asesora, chyba nie były mu dostępne. Mogły one być owocem dalszych studiów jego adwersarza i włączone do tekstu w 1856 roku.

Zbędny też dla nadanego tematu rękopisu jest długi opis perypetii rodzinnych pani Topper, z pochodzenia Polki, a która w trudnej sytuacji materialnej wyszła za Niemca, dobrego wprawdzie męża, ale wszakże nierekompensującego wyjazdu z rodzinnych, wielkopolskich stron. Trudno zrozumieć intencję autora, który to zamieścił: czy poruszył go los jej rodziny, czy chciał odwdziżyć się za życzliwe przyjęcie? A może to był pretekst do kolejnej literackiej wprawki? Albo swoista życiowa przestroga dla innych? Rzecz sama w sobie plastycznie przedstawiająca konkretną sytuację jest interesująca, nie z suchych dokumentów, ale w sposób jakby Dickensowski malująca ludzkie niedole.

*Krzysztof R. Mazurski*

## Wycieczka w Góry.

(Wspomnienie.)

W góry! w góry, miły bracie!  
 Sam wiodła ścieżka na cie.  
 Na szczyt do pastwisk,  
 gdzie się ciodła woda bieżąca...  
 Łataj silnyj pierś oddycha,  
 Tu się sławny świat uśmiecha.  
 Minuty Pol.

## Lobotka.

Jeszcze przed wschodem słońca ~~wyjechałem~~ ~~z~~ ~~miasta~~ -  
 tem, gotuję się na wędrowną wycieczkę w góry. Nie-  
 byłam nigdy w górach, zatem je tylko z różnych opisów  
 i utworów był sobie u nich w myśli najładniejszy-  
 sze obrazy. Tam, nad poziomem, masywem, pierś  
 pełniej oddycha, serce wobodniej bije; tam bieżą  
 nieba i strugi; tam u ciodła potoków i wystają  
 rozkopy zamknięte moine: to u ciodła w wy-  
 stko murów, dalsze, w taki zachwycający i wo-  
 nych przedstawia się barwami.

Nigdy nie zapomnę silnego wrażenia, ja-  
 kie sprawił na mnie pierwszy widok gór, Dale-  
 ka. Było to w drodze z Pomerania do Wrocławia.

# Wycieczka w Góry

(Wspomnienia)

W góry! w góry, miły bracie!  
Tam swoboda czeka na cię.  
Na szalase do pasterzy,  
Gdzie ze źródła woda bieży....  
Tutaj silniej pierś oddycha,  
Tu się szczerzej świat uśmiecha.<sup>1</sup>

Wincenty Pol.

## Sobotka<sup>2</sup>

Jeszcze przed wschodem słońca wstałem, gotując się na umówioną wycieczkę w góry. Niebyłem nigdy w górach, znałem je tylko z różnych opisów i utworzyłem był sobie o nich w myśli najcudowniejsze obrazy. Tam, nad poziomem, marzyłem, pierś pełniej oddycha, serce swobodniej bije; tam bliżej nieba i szczęścia; tam u źródła potoków i czystszych rozkoszy zaczerpnąć można: bo w młodości wszystko nieznanne, dalekie, w tak zachwycających i uroczych przedstawia się barwach!

Nigdy nie zapomnę silnego wzruszenia, jakie sprawił na mnie pierwszy widok góry z daleka. Było to w drodze z Poznania do Wrocławia. [1]

Jadąc karetką pocztową, minąłem późno wieczorem Krotoszyn<sup>3</sup> i żał mi było niezmiernie, że ciemność nocy zasłoniła mi pierwszy pogląd na nieznanne mi dotąd zupełnie okolice Śląska. Tem skwapliwiej rzuciłem ciekawe spojrzenie w około, gdyśmy ze świtem wyjechali z Trzebnicy. Zachwycony wspaniałością tamiecznego kościoła i klasztoru, cieszyłem się poglądem na obcą krainę, a w słodkim marzeniu nieraz podniosłem oczy, do nieba, i na piętrzące się na niem obłoki. Lecz wpatrując się lepiej widzę, że jedne zmieniają swe kształty, a inne nie wzruszone zostają; i myśl mnie uderzyła i zawołałem radośnie: To góry! to góry! a serce mi

<sup>1</sup> Fragment środkowej części poematu Wincentego Pola (1807-1872) „Pieśń o ziemi naszej”, opublikowanego w 1843 r. Opuszczone trzy środkowe wersy (Gdzie ze źródła woda bieży./Gdzie się serce z sercem mierzy/I w swobodę człowiek wierzy!) i ostatni w tej zwrotce (Gdy się wiosną śmieją góry.).

<sup>2</sup> Sobotka – jeśli dotyczy miejscowości. Z opisu wynika jednak, że chodzi o górę, a więc Śląza.

<sup>3</sup> Miasto w południowej Wielkopolsce, około 8 km od granicy Śląska.

zadrzało z rozkoszy. W uniesieniu pragnął bym być lotem orła przenieść się na ich szczyty, poić się obszernym stamtąd widokiem, drapać się po skałach i zaglądać w przepaście. Ale te niecierpliwe życzenia musiałem jeszcze na długo powstrzymać; ważniejsze zajęcia naukowe zatrzymały mnie całą zimę w Wrocławiu i dopiero z powrotem wiosny korzystałem z pierwszych chwil swobody, ażeby me pragnienie u[2]rzeczywistnić.

Towarzyszem, a raczej przewodnikiem mej [dro- – zbędne, autor nie skreślił] drogi był współluczeń wrocławskiej wszechnicy Karol Edward Staniek, syn urzędnika z Jaworu<sup>4</sup>, miasteczka w bliskości Sudetów. Poznanie się nasze było przypadkowe, przez najęcie mieszkania w jednym z nim domu, a gdy na wstępie do obcego miejsca potrzebowałem zasięgnąć różnych wiadomości, udałem się do niego, a on z całą uprzejmością wskazał mi drogą, jak i sam dopomógł usunąć wszelkie trudności formalne, które by się nastęrczyć mogły.

Przypadkowa ta znajomość zamieniła się wkrótce na przyjaźń. W młodości zawsze tak ufna, tak do kochania skłonna, tak silnie czuje potrzebę wzajemnego udzielania się, tak chętnie i tak się zupełnie oddaje, że krotkiego tylko potrzeba czasu, ażeby serdeczną zawiązać przyjaźń; a jednak przyjaźń lat młodych bywa zwykle najserdeczniejszą i najprawdziwszą, choć nieraz lekkomyślnie zawarta, na błahych pozornie oparta podstawach, często przetrwa walki życia i burze, i staje się jeszcze pociechą lat późnych, kiedy już serce dla innych rozkoszy zawiedło. [3]

Kolegując ze sobą i w jednym mieszkając domu, obcowaliśmy wiele ze sobą i bywali razem przy nauce i zabawie; po skończonej pracy gawędziliśmy też ze sobą i nie raz po długich wieczorach zimowych słuchałem go z zajęciem, gdy opowiadał o rodzinnych okolicach, o niebotycznych górach, o skałach, o parowach, przepaściach i o strumieniach, co po urwiskach spadają. Wszystko było dla mnie nowością i marzeniem, które urzeczywistnić pragnąłem. W ten czas to układaliśmy zamiary zwiedzenia razem tych cudów natury, a on starszy wiekiem, doświadczeniem i nauką, cieszył się i był dumny z tego, że przewodniczyć mi może na nieznaney drodze.

Człowiek ma to w sobie wrodzone, że im go więcej jaki przedmiot zajmuje, tem chętniej pragnie to swoje zachwycenie innemu udzielić.

Staraniom też i namowom przyjaciela zawdzięczałem głównie, że zamiar zwiedzenia gór przychodził do skutku. Udając się na zielone świątki do rodziców przyrzekł zboczyć z swej drogi i wskazać mi godne widzenia okolice Szląska.

<sup>4</sup> Jawor – miasto na Równinie Jaworskiej, subregionie Wysoczyzny Chojnowskiej. W połowie XIX w. liczyło około 7500 mieszkańców.

Pierwsze nasze dążenie było zwrócone [4] ku górze Sobotniej<sup>5</sup>, której ciemne zarysy oznaczone na niebie z daleka tak często mają wyobraźnię budziły.

Wybraliśmy się bardzo rano, w najweselszym usposobieniu, a wszystkie wrażenia dnia tego, dziś jeszcze po tylu latach, w świeżej mi tkwią pamięci, i chętnie w je w myśli, jako miłe wspomnienie odświeżam. Pogoda nam zupełnie sprzyjała: na błękitnym tle niebios lekkie białe chmurki, porozrzucane jak runo owiec odbijały promienie wschodzącego słońca, i purpurowym świeciły blaskiem. Ziemia przywdziała szatę zieloną i ze wszech stron przedstawiała zachwycające obrazy; rozwijające się drzewa [,] krzewy, zioła i kwiaty napełniały miłą wonią powietrze; śpiew ptasząt rozlegał się po polach i gajach, i wszystko stworzenie cieszyło się nowym życiem; radość ta ogólna i w naszych sercach odpowiednie wywołała współczucie. Owiani świeżym tchnieniem poranku, poiliśmy się całą piersią wdziękami świeżej przyrody. Szybki krok pochodu, wesoła gawęda, pogląd na sielską okolicę i świeżość poranku, obudziły nie zwykle w nas siły i życie. Co za śmiechy i żarty! Co za do-[5]wcipne i trafne uwagi nad przynoszącymi na targ płody ziemskie wieśniakami; zgoła wszystko było przedmiotem najżywszego zajęcia, serdecznej radości!

W jednej z wiosek przy drodze wstępujem do karczmy na śniadanie i posilamy się mlekiem, chlebem i świeżym masłem, jakby najwyśmienitszą biesiadą<sup>6</sup>, spieszmy potem dalej, mijamy pola [,] wioski, gaje, łąki, spoczywamy znów chwilkę i nowych sił nabrawszy, na nowo puszczamy się w drogę. Takim pochodem wkrótce po południu przybywamy do miasteczka Soboty<sup>7</sup>. Na samym wstępie spotykamy dzieci w gromadkach wracające ze szkoły, z których każde grzecznym nas pozdrawia ukłonem; dalej mijamy kościółek z wysoką wieżą<sup>8</sup> i wchodzimy na rynek, gdzie wszystkie prawie domy o piętrze i murowane, kilka zajazdów, sklepów korzennych, straganów z pieczywem i kramów z chomontami [!], powrozami, a czasami słomą i smołą. W bocznych ulicach różni majstrowie powywieszali swe znaki, a każdy domek otoczony ogródkiem ma pozor czystości i porządku. Zatrzymujęm się w jednym z zajazdów, a po obiedzie i wypoczynku spieszmy do góry.

Kilka staj<sup>9</sup> za miastem zbaczamy z gościń[6]ca i przez pola wchodzimy w gęsty

<sup>5</sup> Jak w tytule: chodzi o Ślęzę (718 m) w Masywie Ślęży na Przedgórzu Sudeckim. Czy jest to wynik znajomości utworu „Baśń o Sobotniej Górze” Romana Zmorskiego z 1852 r., który na niej był? Wspomina o tej legendzie R. Kincel w odsyłaczu nr 4.

<sup>6</sup> R. Kincel przypuszcza, że mogło to mieć miejsce w Tyńcu Małym lub Małuszowie.

<sup>7</sup> Czyli Sobótka.

<sup>8</sup> Sugerowałyby to nadejście od Strzegomian, z południa (dzisiejszą ul. św. Jakuba), co byłoby dziwnego, skoro młodzieńcy szli z Wrocławia, czyli od północy.

<sup>9</sup> Staja staropolska – około 134 m, staja milowa – około 893 m. Z topografii tereny wynika, że chodzi o raczej tę pierwszą jednostkę, co dawałoby 650-950 m od centrum Sobótki do lasu – odległość prawdopodobna.

las, gdzie dobrze utorowana szeroka ścieżka, w wątpliwych miejscach opatrzona drogowskazami prowadzi nas pod górę. Przez długi czas widzimy tylko wyniosłe drzewa starego lasu i uroczysta cisza panuje dokoła, przerywana niekiedy pukaniem dzięcioła, albo szelestem opadającej suchej gałęzi, lub ucieczką spłoszonej zwierzyny.

W pół drogi, może, spotykamy młodzieńca z dziewczyną pod ręką; ona w świątecznym stroju wieśniaczki, u niego kapota siwa i czapka zdradzają młynarczyka. Może to brat z siostrą – może dwoje kochanków szukających rozrywki w uwielbieniu pięknej natury. Radość maluje się na ich twarzy; zadowoleni wracają ze swej wycieczki [...] może w późne jeszcze lata, dzieciom i wnukom wspominać będą ten dzień, jako jeden z szczęśliwszych w życiu, które przy pracy i znoju mało tylko odmiany przedstawia. Szybkim krokiem jak sarny skaczą z kamienia na kamień, mijając pozdrawiają nas grzecznie i wkrótce na zakręcie d rogi znikają. Znów cicho w około i w milczeniu postępujemy naprzód. Wysilenie utrudnia rozmowę i cała myśl w oczekiwaniu zebrana [...]

W godzinę przeszło natężonego pochodu zaczy[7]na się rozwidniać przed nami, jeszcze kroków kilka, wychodzimy na łączkę i jesteśmy na szczycie<sup>10</sup>.

Jakaż kraina cudów spragnionemu przedstawia się oku! Co za widok obszerny wspaniały, jak nieskończona różnorodność zachwycających obrazów rozwija się do koła! Wzrok roztargniony błądzi z jednego przedmiotu na drugi jakby wszystkie te piękności chciał pochwycić od razu, a ogrom ich w odurzenie wprowadza. Po niejakej chwili uniesienia dopiero uwaga na szczegółach zatrzymać się zdoła i pojedynczo się nimi nasycić.

Od wschodu, jako oko sięga daleko [...] leży nieprzejrzana równina<sup>11</sup>, bogata we wszystkie skarby przyrody, liczne wsie i miasteczka z czerwonymi dachami domów i sterczącą wieżą kościółka, otoczone wieńcami ogrodów wyrastają z jej łona. Zwirowane bite drogi, wysadzone drzewami jak jasne żółte wstęgi z zielonym szlakiem przeplatają pola i łąki. W odległości mil<sup>12</sup> kilka nad brzegiem Odry lśnią się kopuły [...] wieże i szczyty gmachów Wrocławia. A po za rzeką obszerna równina, dalej niewielkie wzgórze z wiatrakami<sup>13</sup> – to Trzebnica gdzie klasztor Św Jadwigi, a po za tem już wzrok ginie we mgle oddalenia. [8]

<sup>10</sup> Połączenie lokalizacji: łączka, na której w 1837 r. stanął drewniany budynek z prostymi usługami dla turystów (m.in. noclegi na sianie) – żadnej o nim wzmianki, a nieco powyżej kościółek, rozpościera się poniżej szczytu, skalistego i chyba wtedy też zalesionego (w 1913 r. wzniesiono na nim betonową wieżę triangulacyjną, dziś punkt widokowy). Takich widoków z owej łączki autor nie mógł widzieć, co najwyżej na północ, ku Wrocławowi, a inne – może z właściwego szczytu, o ile nie dokomponował sobie skądinąd.

<sup>11</sup> Równina Wrocławska

<sup>12</sup> Zapewne chodziło o milę pruską = 7532,38 m.

<sup>13</sup> Najwyższy fragment morenowych Wzgórz Trzebnickich 230-256 m n.p.m.



Daremnie natężam ciekawe oko, już nic więcej nie widzę i tylko się niego do ziemi nachyla, te świecące na niem obłoki już nad rodzinną się unoszą krainą, nad krainą szczęścia i dziecinnej swobody!

Nie dawno tamte opuściłem strony, a już na ich wspomnienie serce żywiej uderza i tęskne się z piersi dobywa westchnienie. Patrząc tam z daleka, sądziłbyś, że niego do ziemi się zniża i do niej dotyka, a to oddalenie cię ludzi! Tak bywa zawsze i wszędzie, oddalenie ma powab uroczy! Czy spoglądamy na obszerną krainę, czy myśl zapuszczamy w przeszłości wspomnienia, czyli też w nadziei malujem sobie nieznanne obrazy przyszłości, daleko od nas, w którąkolwiek wzrok zwrócimy stronę, zdaje się, że niebo z ziemią się schodzi, tylko nad nami niedoścignione wysokie! Ale nie ludźmy się czym pozorem, bo gdy tam przybędziem, znów niebo prosto nad nami równie wysokie i dalekie.

Podumawszy tak chwilę, nasyciwszy i oczy i serce i duszę zwróciłem się w drugą stronę. Tam odmienny się widok przedstawia. Jak od wschodu i północy wszystko ożywione, rozległe jasne [i] wesołe, tak od południa i zachodu wszy[9] stko ponure wspaniałe olbrzymie [...] Ciemne pasma Sudetów, Cór Kłodzkich<sup>14</sup> i Kurkonowskich\* otaczają widnokrąg, w podnóżu kryje się kilka wsi rozłożonych w dolinach nad brzegiem strumyków i miasteczko Świdnica, którego wysoka wieża kościelna sterczy po nad pagórkami, co je w części zasłania<sup>15</sup>. Dalej góry coraz dziksze i wyższe, ich grzbiety pokryte lasami, w przerwach strome skały, a po nad wszystkim panują śniegiem pokryte szczyty, wznoszące się pod obłoki<sup>16</sup>. Z zachwyce- niem poję się wrażeniem nowego dla mnie obrazu, wszystkie władze serca i duszy zadowolone, zdało mi się [...] że wstąpił na wyższy szczybel szczęścia, patrząc na to, co dawno widzieć pragnąłem. Dumą i pokorą uniesiony wzniosłem myśl od stworzenia do Stwórcy i zawołałem wzruszony: O jakże wielkim i pięknym twój świat o Boże! i oddałem się uroczystym du[maniom]

\* W Geografiach zwykle nazywają te góry Olbrzymie, dosłowne tłumaczenie niemieckiego Riesengebirgu, ale mieszkańcy okoliczni, słowem nazywają je Kurkonowskie<sup>17</sup>, dla tego tej nazwy tu użyłem. [10]

<sup>14</sup> Mogły to być tylko góry Sowie i Bardzkie, może i Złote, rzeczywiście od północy zamykające Ziemię Kłodzką.

<sup>15</sup> Por. przypis 9. Potwierdza to, że owe widoki mogły być ewentualnie obserwowane z właściwego szczytu, bowiem z łączki w tym kierunku zasłania je najwyższa część wierzchołka Ślęży.

<sup>16</sup> R. Kincel stwierdził, że widziano poprzez góry Wałbrzyskie i Kamiennie (na pierwszym planie) Karkonosze. Z powodu o wiele czystszej wówczas powietrza nie budzi to wątpliwości, zaś śnieg późną wiosną w Karkonoszach nie jest czymś niezwykłym.

<sup>17</sup> Zagadnienie tej nazwy jest frapujące – tylko u tego autora stwierdzonej. Nie wiadomo, o jakich okolicznych mieszkańcach mowa: polskich, których w okolicach Jawora było chyba nader mało (jeżeli w ogóle byli), czy czeskich. Można przypuszczać, że chodzi o tych drugich, bo nazwę można wywieść od *Krkonošské hory*. Niedokładne usłyszenie podczas podróży albo miniony do spisywania wspomnień czas mogły doprowadzić do takiego zniekształcenia.

[du]maniom. Towarzysz mej drogi podobnemu się oddał uczuciu.

Pobożne myśli mimowolnie owładną każdego, kto na wielkość i piękność dzieł bożych czystym sercem spogląda. W najdawniejszych wiekach nasi pogańscy przodkowie na szczycie tej góry stawiali swym bożkom ołtarze; późniejsi chrześcijanie wzniesli tu kościół<sup>18</sup>, z którego tylko zwaliska zostały.\* Siedząc na tych szczątkach zgrzybiałej przeszłości, wspomnienie upłynionych wieków, w połączeniu z tym czarującym widokiem do koła, pobudziło najwznioślejsze myśli i najrzewniejsze uczucia. Patrzeliśmy na niezmierzoną przestrzeń ziemi uprawioną ręką ludzką, i ozdobioną we wszystkie wdzięki przyrody: to obecność i miłość; staliśmy na gruzach świątyni Pańskiej: to przeszłość i wiara; a nad nami pogodne niebo, ubarwione purpurą zachodzącego słońca, zdawało się otwierać wrota do przybytku niebiańskich radości: to przyszłość i nadzieja. To ostatnie uczucie i obrazy nie były w pewnych zarysach, były tylko jak by nasze marzenia, ale całą duszę niezwykłą przepelniły rozkoszą. Tych krótkich chwil kilka, przepędzonych na szczycie tej góry stanowią jeden z piękniejszych obrazów w wspomnieniach mojego życia.

Gdy się już słońce skryło za przyległe góry, oderwa[liśmy]

\* Świątynia ta spłonęła ogniem od pioruna i przez wiele lat w gruzach leżała, przed kilku jednak laty pięknie odbudowana i przyozdobiona została<sup>19</sup>. [11]

[oderwa]liśmy się, nie bez żalu od tak czarującego widoku. W jednej z pobliskich wiosek<sup>20</sup> w dolinie znaleźliśmy posiłek i nocleg.

## 2.

Mimo rańszego jak zwykle wstania, nie spieszylismy do spoczynku i w wesołej rozmowie powtarzaliśmy sobie wrażenia dnia tego, które dziś jeszcze nadzwyczaj miłe budzą wspomnienia.

W całym domu już wszystko ucichło, a po długiej gawędzie i my się do spoczynku zbierali, gdy nagle głośne krzyki na dworze zwróciły naszą uwagę. Porywamy się do okna i widzimy ogień w sąsiednim domu. Wybiegamy natychmiast, tak dla ciekawości, jak w chęci niesienia jeżeli można jakiegokolwiek pomocy, bo pożar tylko co się wszczął w jednej z izb dolnych, gdzie palące się sprzęty buchają oknem,

<sup>18</sup> Dopiero w 1702 r.

<sup>19</sup> Zbudowany w 1702 r. przez opata Jana Sieverta kościół posadowiony został na ruinach zameczku z XIV-XV w., spłonął w pożarze w nocy 4/5.06.1834 r. To jego ruiny, nie tak starożytne, oglądali wędrowcy. Odbudowano go w latach 1851-1852.

<sup>20</sup> Skoro zmierzano do Jawora, a więc na zachód, i zmierzchało się, studenci nie mogli daleko zejść. Najprawdopodobniej nocleg wypadł w jednej z tych wsi: Wiry, Mysłaków lub Sady. Nie wiadomo bowiem, którędy oni schodzili ze szczytu.

ale za przybyciem zaczem już pożar gwałtownie się szerzy, ogarnia belki pruskiego muru<sup>21</sup> i spina się do słomianego dachu.

Przerażeni mieszkańcy za ledwie życie ucieczką ratować zdołają. Gospodarz biega jak błędny, od domu do studni, nie wiedząc czy pożar zalewać czy się wziąć do wynoszenia sprzętów; parobek i dziewczka krzyczą i zgiełk powiększają. Wszystko biega i woła pomocy, nie wiedząc z przestachu co robić. Tylko Matka z nie mowłciem [12]

u piersi wlecze za sobą pęk pościeli, a troje małych dzieci, trzymając się jej [ ] pomagają ile możności unosić tłomoka. Oddaliwszy się trochę od domu zwraca się ku dzieciom: „Gdzie moja Helenka!” Krzyknie nagle, rzucając wzrok błędny do koła, „Helenka została na górze, ona w ogniu się spali!” I w rozpacz bieży do palącego się domu, przeraźliwie wołając: „Helenko! Helenko! moja najdroższa Helenko!” Kto uratuje me dziecię!”

W tej chwili na poddaszu palącego się domu u szczytu ze strony, gdzie jeszcze nie doszły płomienie, wylatuje okno i ukazuje się postać dziewczyny wzywającej ratunku. Przez otwarte drzwi dolnej izby buchają gęste kłęby dymu i ognia, żar piecze zdaleka i przejście zdaje się być niepodobnem, drabiny nie ma pod ręką, ojciec pobiegł jej szukać, a niebezpieczeństwo straszne. Karol się namyśla, porywa plachtę, z leżącej na ziemi pościeli, nią okryty bieży do palącego się domu, wpada przez płomienie na wschody, jednym uderzeniem w zapędzie wysadza drzwi do izby, chwytą drżącą i z przestachu na wpół [13] dziewczyną, i po prześcieradle spuszcza ją przez okno na ziemię. Matka odbiera swe dziecię i tuląc je do łona, zapomina, że cały zresztą dobytek staje się pastwą płomieni. Karol za ledwie sam też drogą ratować się może przywiązawszy prześcieradło do okna, nie bez trudności dostaje się na dół.

Coraz wzmagający się pożar, krzyk, zgiełk i grzechotka nocnego stróża sprowadzają mnostwo ludzi z wsi całej. Jedni wołają, inni rozporządzają, coby robić wypadalo, inni tylko ciekawie się patrzą, a mało kto czynnie przykłada ręki. Na szczęście inne zabudowania gospodarcze były w nijakiej odległości i starania [ ] aby je od zajęcia się uchronić pomyślnym uwieńczeniem zostały skutkiem, ale w domu mieszkalnym już nie ma czego ratować, wszystko ze wszystkim spalone. Dach cały w ogniu, ściany pruskiego muru po wypaleniu belek się chwieją, jedna krokiew się odrywa po drugiej i w końcu się wszystko zapada. Płomień raz jeszcze zionął wszystko, i własną się trawi siłą.

<sup>21</sup> W istocie chodzi o konstrukcję szachulcową, w której drewniane belki tworzą rygiel albo ramy, wypełniane gliną lub patykami nią obrzuconymi. Wynika to z dalszego opisu. Mur pruski zastąpił nietrwale wypełnienie ceglami.

Popatrzawszy jeszcze chwilę razem, ciekawem [14] spojrzeniem, ludzie się zaczynają rozchodzić, a i my za nimi wracamy do naszej gospody.

Słońce już było wysoko, gdyśmy nazajutrz powstali. Nasz sąsiad pogorzelec, z dwojgiem starszych dzieci przy pomocy kogoś ze znajomych przerzucał dymiący się popiół i gruzy. Mówiono nam, że się już pytał o nas, chcąc Karolowi dziękować za uratowanie dziecka, i prosił, żeby go zawiadomić skoro powstaniem, ale unikając drażliwej sceny, zaraz po śniadaniu w dalszą puściliśmy się drogę. Nie spieszyliśmy już tyle co dnia wczorajszego i nieraz spoczywaliśmy w cieniu drzew albo w gościnach przy drodze.

Po południu, gdy upał dzienny już trochę ustał i gdyśmy o większym pośpiechu zamyślać poczęli [,] dogoniła nas bryka, kryta płótnem według zwyczaju tamtejszych okolic zaprzęzona w parę rosłych dobrych koni. Ledwie się z nami zrównała, gdy siedzący w niej obywatel, kazał stanąć i zapytał [,] czy my nocowali w Jarocinie<sup>22</sup>? Karol poznał w nim P[ana]. Topper majątnego kupca z Jaworu, lecz niepoznany od niego niemało się tem pytaniem zadziwił, a więcej je[15]szcze, gdy P. Topper, nie czekając odpowiedzi, wyskoczył z bryki i po uprzejmym powitaniu oświadczył swe zadowolenie z naszego spotkania. Nie zrozumieliśmy o co rzecz idzie, lecz wkrótce się wyjaśniło: w bryce z nim jechała Helenka, którą Karol zeszłej nocy wyniósł z płomieni.

Pan Topper jechał był dnia poprzedniego do Świdnicy i wstąpił po drodze do Jarocina, dla odwiedzenia swej siostry ciotecznej i u niej chwil kilka przepędził. Jakże się zmartwił, gdy wracając nazajutrz, zastał tylko dymiące się zgliszcza domu, w którym wczoraj szczęśliwie mieszkała rodzina. Chcąc ulżyć rodzicom, nie mającym dziś dla siebie schronienia, P. Topper zabrał z sobą trzynastoletnią ich córkę, a w imieniu jej rodziców teraz składał Karolowi podziękowania za udzielony jej ratunek, z narażeniem własnego życia. I ona sama przebaknęła kolka wyrazów, lecz więcej nierównie spojrzeniem i całą istotą wyrażała [,] ile czuje wdzięczności za wybawienie jej od strasznej i niechybnej śmierci w płomieniach. [16]

Po tych objaśnieniach i wynurzeniach P. Topper prosił nas, abyśmy mu towarzyszyli do miasta i przyjęli gościnność, na jaką dom jego zdobyć się może.

– „Z podziękowaniem przyjmujemy oferowane nam miejsce w bryce i korzystamy z towarzystwa Pańskiego.” odpowiedział Karol, „będziemy tym sposobem wcześniej w Jaworze, gdzie mnie oczekują rodzice.”

– „Jakto! Panowie z Jaworu!["] zawołał P. Topper zdziwiony.

<sup>22</sup> Miejscowość niezidentyfikowana. Por. wprowadzenie. Nie udało się to też R. Kinclowi (odsyłacz nr 14).

– „Ojciec mój Asesor<sup>23</sup> Staniek,” odrzekł Karol

– „Tem więcej mnie cieszy,” przerwał tamten, „że w wybawicielu mojej krajniaczki mogę powitać syna mego szanownego przyjaciela. Mnie się zaraz zdawało, że Pan jakoś znajomy, tylko nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie Pana widziałem, bo to już lat parę, jak Pan z Jaworu wyjechał. Wtenczas Pan byłeś dzieckiem prawie, dziś Pan zmężniałeś, iż gdyby nie podobieństwo do Ojca, nie łatwo by Pana poznać”

– „Byłem od owego czasu po dwakroć na wakacje w domu, aleś Pan na lato z żoną był do wód wyjechał.”

Po tej rozmowie P. Topper zwrócił się do mnie. „P. L<sup>+</sup>. rodem Polak,”<sup>24</sup> rzekł Karól przedstawiając mnie. „Kolega mój uniwersytecki i przyjaciel. [17]

Ukloniliśmy się sobie wzajemnie, a P. T. słysząc mą narodowość, jeszcze się raz uklonił i biorąc mnie za rękę, rzekł po polsku, zatracając mocno z niemiecka: „Ciesz mi bardzo poznanie [w oryginale wykropkowane] Pańskie zrobić, i ja się spodziewam, że gdy Pan tu zabawisz, raczysz mnie w domu moim odwiedzić. Byłem i ja w Polsce i wiele mi ztamtąd miłych wspomnień zostało. Mam też Polkę za żonę, a ona bardzo będzie rada, gdy ją ziomek odwiedzi”. Podziękowałem uklonem i kilku obojętnymi wyrazy, a gdy P. T. powtórzył swe zaproszenie towarzyszenia mu, siedliśmy do bryki i pojechali razem ku miastu.

Opowiadanie zdarzeń wczorajszego dnia i nocy, niektóre uwagi nad okolicą, przez którąśmy przejeżdżali, skracały nam drogę. Niedaleko przed miastem Karol wydał okrzyk radości, ujrzał bowiem przed sobą, ojca [.] matkę i rodzeństwo wyszłych na jego spotkanie. W kilka chwil zbliżyliśmy się do nich. Karol wyskoczył z bryki i rzucił się w objęcia matki, siostra młodsza zawiesiła mu się na szyi, a ojciec [.] siostra starsza i brat cisnęli się do niego [.] by go uściskać z kolei.

Tym razem wysiedliśmy także z P. Topper, i stanąłem sobie na uboczu, milczący ale nieobo[18]jętny świadek tego serdecznego witania się rodzeństwa po długim niewidzeniu.

Tak i mnie, pomyślałem, powitają kiedyś rodzice i swoi, gdy za lat kilka do nich powrócę, pełen nauki, wiedzy, a może chwały i sławy. I zadumałem się nad największym szczęściu o ktorem marzyłem w przyszłości: o powrocie do nich tak jak go się spodziewałem. Najpiękniejsze mnie pod tym względem ożywiały nadzieje, zachęcały do pracy i wytrwałości i były źródłem niejednej pociechy.

<sup>23</sup> Urzędnik wymiaru sprawiedliwości.

<sup>24</sup> R. Kincel postawił przypuszczenie, iż krzyżyk u litery L miał stanowić odesłanie do jakiegoś przypisu, może rzucającego światło na tożsamość autora, ale nie doszło do tego.

Gdy się te powitania skończyły między rodzeństwem i P. Topper, przyszła i na mnie kolej. Karol przedstawił mnie im jako przyjaciela, o którym już w swych listach wspominał i w skutku tego każdy z kolei podał mi rękę, ojciec i matka obdarowali mnie kilku grzecznymi wyrazami, nacechowanymi więcej uprzejmością jak serdecznością. Po krótkiej jeszcze rozmowie P. Topper z Helenką odjechali, a my pieszo doszliśmy do miasta.

### 3.

Nie widziałem był dotąd grodu noszącego tak wyraźną cechę starożytności jak Jawor, dziś Jauer, dawna siedziba 'jednej z młodszych linii' [wstawione z niższego wersu] książąt Piastowskich. [19]

Otoczają ją wysokie mury, miejscami wznoszą się baszty, a ogromna wieża stoi u bramy<sup>25</sup>; w ogóle ślady dawniejszej obrony tylko o tyle zatarte, że w osuszonych rowach pozakładano warzywne ogrody i owocowe sady, a rozpięte na murach drzewa liściem swym i kwieciami zasłaniają szarą barwę zgrzybiałej przeszłości.

W samym mieście ulice niebardzo szerokie [...] ale porządne i czyste, nieco wprawdzie posępne bo zupełnie ciche bez tego ruchu żydostwa [...] co zwykle u nas po miasteczkach się kręci. Domy wszystkie murowane, najwięcej o piętrze, szczytem do ulicy zwrócone, a miejscami ocienione kasztanami lub lipą. Rynek obszerny, otaczające go budynki mają wszystkie u dołu otwarte sklepienie na murowanych słupach mniej lub więcej ozdobnych<sup>26</sup>, na którym wyższe spoczywają piętra. Pod tym sklepieniem można cały rynek obejść do koła uchroniwszy od upału i słoty, a w dniu targowe wieśniaczki tam zasiadają, ze swemi płodami. W środku rynku wznosi się ratusz z wysoką wieżą [...] na której znajduje się zegar. Taka cisza panuje zwykle w mieście, że poruszenia wachadła [...] tego zegara po całym słyhać rynku. [20]

Ratusz sam starożytnej nieregularnej budowy, a poprzyczepiane doń budki i sklepiki zasłaniają go ze wszystkich stron prawie, że właściwy kształt jego, trudno rozpoznać można.

Przybywszy do mieszkania Asesora nowe nastąpiły powitania, proszono mnie rozgościć się jak u siebie i zaprowadzono do izdebki, gdzie wraz z Karolem, na czas mego tu pobytu, miałem zająć kwatery. Kuferek mój z rzeczami przed odejściem z Wrocławia pocztą przysłany, a nadto w skromnym rozmiarze wszystkie urządzenia do wygody czasowego pobytu potrzebne.

Oczyściwszy się z pyłu podróży, zaszliśmy do bawialnego pokoju, gdzie nas

<sup>25</sup> Podczas pobytu Jana z Jasięca mogła to już być tylko Brama Strzegomska.

<sup>26</sup> Charakterystyczne dla sudeckich miast podcienia, zwane też arkadami.

przyjęto kawę, a wkrótce potem dano znać [.] że podano wieczerzę. W ożywionej rozmowie o przygodach i wrażeniach naszej podróży i osobliwościach miejscowych upłynął wieczór bardzo przyjemnie. Na spoczynek, podług zwyczaju domowego udaliśmy się wcześniej, a może nawet wcześniej niż zwykle, przez wzgląd na nasze strudzenie. Ale na jutrz wcześniej rano, bo wkrótce po wschodzie słońca wszystko w domu było już ożywione.

Nie daliśmy czekać na siebie i niedługo po za [21] drugimi zeszliśmy do mieszkalnego pokoju. Przed śniadaniem Asesor odczytał modlitwę, której wszyscy z przykładnem nabożeństwem słuchali.

Był jakiś ton patryarchalny w tym domu, który na pierwszym już wstępie dziwnie miłe zrobił na mnie wrażenie. Wszędzie panowała skromność i prostota: nierobiono żadnego wysilenia, zdawało się [.] że nic nie wyszło ze zwyczajnego trybu, a jednak wszystkie potrzeby nasze były obmyślane, nawet pewna dbałość o nasze wygody się okazywała, jakgdybyśmy z Karolem od dawna tam mieszkali; lubo dochody Asesora były skromne i wszędzie zachować trzeba było największą oszczędność. Matka sama się zajmowała gospodarstwem, a przy wszystkich jego zabiegach zdawała się ani na chwilę nie zapominać o ulubionym synie, w którym widziała swą pociechę i chlubę. Wszelkimi możliwymi sposobami starała się uprzyjemnić krótki jego pobyt w domu, a całe rodzeństwo niemniej usiłowało, jak najwięcej się niem nacieszyć i przywiązanie mu swe okazać. I mnie jako przyjacielowi jego nie mały się dostał udział tych czynnych zabiegów w uprzyjemnieniu mi pobytu w tym domu [22] i uważałem, że w obejściu ze mną, zrazu formalnie grzecznem, coraz się więcej przebijało zaufania i serdeczności.

Asesor był człowiek naukowy i świątły z trafnym poglądem na życie; znał, jak rzadko między obcymi dzieje naszego kraju, i nie wiem czy przez grzeczność, czy przez chęć popisania się swemi wiadomościami, często zwracał rozmowę do przedmiotów tyjących się historii i takich, które sądził, że mnie najwięcej obchodzić mogą. Ale te jego wiadomości, lubo obszerne, dość były jednostronne, a ja, spoglądając nieraz z innego stanowiska na wypadki i zdarzenie, popierałem me zdanie uporczywie i często ze zbytnią może żywością. Słuchał mnie wtedy cierpliwie uwagami się memi nie zrażał: zapалу mego nie tłumił, owszem twierdził, że w rozmowie jak w całym obejściu i życiu społecznem, więcej ceni szczerłość i prawdę, choćby czasem szorstką i nie miłą, jak fałsz, gdyby w najpoważniejszej przedstawionej postaci i najpiękniejszą barwą okryty.

Tak więc rozmowa nasza była nauczającą i miłą zarazem; a gdy Karol z matką i siostrami się bawił, i o miejscowych lub osobistych z nimi rozmawiał, Asesor

ze mną naukowe i filozoficzne [23] prowadził rozmowy i dość zacięte ze sobą na tem polu staczaliśmy walki. Po każdym jednak starciu zbliżaliśmy się coraz więcej do siebie i myślą i sercem.

Chciał mnie też zapoznać z kilkoma ze swych przyjaciół, lecz podziękowałem, bo nie mając zamiaru bawienia tu długo i niespodziewając się na dal żadnych w tych stronach stosunków, nie szukałem znajomości, które w samym zawiązku nie obiecują już trwałości. Nie ludzie, ale piękne gorzyste okolice zwały mnie w te strony, i zwiedziwszy jeszcze niektóre szczyty gór Kurkonowskich, godniejsze uwagi postanowiłem wrócić do Wrocławia.

– „Sam jestem wielkim miłośnikiem natury,” odpowiedział na to Asesor, „i na jej łonie przepędziłem nie jedną chwilę, którą z rozkoszą wspominam. Zdaniem też mojem nic więcej nie uszlachetnia serca, nie wznosi umysłu, jak rozpamiętywanie dzieł boskich. Wielkość i mądrość Stwórcy wszechświata odbija się najwidoczniej w stworzeniu! On Sam dla naszego ukrył się oka, ale się objawił w przyrodzie. Tam za każdym krokiem, w najdrobniej[24]szym owadzie, którego tylko uzbrojone oko badacza dojrzeć potrafi, zarówno jak w całym ogromie praw, któremi świat się rządzi w prostocie i jednostajności onychże, widzimy najjawniejsze dowody nieskończonej dobroci i mądrości Boga. Im się więcej tam zagłębiemy, tem wznioślejsze, tem wyższe o Nim mamy pojęcie: a poznanie Jego prowadzi do cnoty!

Nie mogłem zaprzeczyć słuszności tych uwag.

– „Więc niezaprzeczysz Pan także,” dodał, „że najdoskonalszem dziełem Boga jest człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo samego Stwórcy, jako przedstawiciel Jego wielkości i mądrości na ziemi, poznanie też ludzi najwyższą jest mądrością, najtrudniejszą nauką.”

– „Przyznaję i to,” odpowiedziałem, „a jednak nie mniej uważam za prawdę, że bliższe poznanie ludzi i ich drobiazgowego dążenia zwróconego ku potrzebom materialnego życia uczy wprawdzie rozumu, ale tylko ziemskiego i nie przyczynia nam szczęścia. Owszem pogląd i za tak rozliczne cierpienia i nędzę, którą widzimy do koła, zgłębianie tego odmętu dziwności i zepsucia, który nas otacza, podkopuje wiarę w cnotę, naraża nas na niebezpieczeństwo, że zamiast widzieć wielkość Boga w Jego stworzeniu, przedstawiamy sobie tylko Boga na obraz i podobieństwo czło[25]wieka, z temiż słabościami i uczuciami nienawiści, upodobania i zemsty. Takie pojęcie o Bogu podkopują wiarę w cnotę i szczęście, gaszą ten święty ogień miłości dla całego rodzaju ludzkiego, który nas czyni zdolnymi do największych poświęceń!”

– „Do tej pomyłki prowadzić może tylko bardzo powierzchowny pogląd na ludzi.

Kto nad poziom się wznieść potrafi, kto nie tylko ze stanowiska samolubnego materializmu umie patrzeć na ludzi, ten tam więcej uczucia, jak gdziekolwiek zobaczy miarę sprawiedliwości i miłości boskiej! Czyż szczęście wyłącznym jest przywilejem tych co mamonę świata posiadli? Czy uśmiech na ich ustach jest zawsze wynikiem wewnętrznego zadowolenia? Czy między nimi najweselsza zabawa, najserdeczniejsza radość? Zbyt liczne mamy przykłady, że istotnie tak nie jest! Lecz nie chcę wchodzić w szczegóły. Smutną zaiste byłoby rzeczą, gdyby poznanie ludzi miało nas pozbawić moralnych skarbów życia, i uczynić nas mniej dobrymi!

– „Prawda!” odpowiedziałem, „a jednak nie ma wątpliwości, że najszczęśliwszą porą życia jest młodość, kiedy jeszcze mało znamy świata i ludzi, kiedy całą jeszcze duszą i sercem umiemy się cieszyć dniem [26] jasnym pogody, zieloną murawą, promieniem słońca na kwiecistej łące, lub cieniem odwiecznych lasów.”

– „Młodość, bez wątpienia” odpowiedział mi tu Asesor, „jest skarbem nieocenionym, który przy większym doświadczeniu i nauce powoli tracimy; ale nie nauka, tylko czas nam ten skarb wydziera. W młodości mamy jeszcze cały zasób życia cały czas jego przed sobą! a czas to pieniądze. Siła, szybkość, sprężystość wszystkich władz umysłu, po największej części i zdrowie, są największe w młodości, skarbów tych nadużywać nie można. Cóż jednak, jeżeli nie doświadczenie i rozum, może nam wskazać jaki z nich robić użytek? Zaprawdę, jeżeli ich nie użyjem na dobre, sam potok czasu ich nas pozbawi; one same przez się i bez użycia stępieją i strawią się w sobie. Rozum i doświadczenie są jedyną wskazówką człowieka po zawilej drodze życia!

– „I wiara!” przerwałem szybko.

– „Wiara jest względna,” odpowiedział spokojnie „Wiara jest darem Boga, który nam daje siłę i wytrwałość w najcięższych przygodach życia, słodzi chwile cierpienia i podnosi duszę do nieba, ale na ziemi nam drogi nie wskazuje; owszem, wzbraniając rozbioru, zatrzymuje nas na tej, na której nas traf posadził, a przygaszając rozum, może nas zmylić i do najstraszniejszych odmętów zagorzaństwa i fanatyzmu prowadzić! Któż zaprzeczy silnej wiary Indianom<sup>27</sup> poddającym się dobro[27]wolnie śmierci i najstraszniejszym męczarniom na cześć swego Brama! Czyż nie uczucia wiary ożywiały namiętną duszę tych zaślepionych gorliwców, co palili ludzkie ofiary, swych własnych .... [nieczytelny dopis] i braci na cześć swoich pojęć o Bogu? Wiara nie od nas zależy, ale od okoliczności [...] pod któremi na świat przychodzim, od jakich rodziców, na jakim miejscu. Wiara jest inną

<sup>27</sup> Chodzi o Hindusów, wyznawców hinduizmu, dla których Brahma jest jednym z najważniejszych bóstw.

w Rzymie, w Stambule, w Benares, w Pekinie i inną w pustyniach Afryki, a przecież Bóg wszędzie jest jeden i przeznaczenie człowieka wszędzie to samo. ["]

– „Nie przeczę,” odpowiedziałem, „nie mówię też o wyznaniach wiary, ale o tej świętej wierze w szczęście i cnotę, która nam chwile młodości osładza: to skarb prawdziwy i biada, kto go utracił.”

– „Tylko rozum i doświadczenie mogą nam wskazać środki jak je zachować najdłużej.”

– „Wszakże toż samo doświadczenie nas uczy, że właśnie z poznaniem świata, że po zetknięciu się z ludźmi w zimnej rzeczywistości ulatują owe młodzieńcze złudzenia i wszystko, co życie zdobi, a z niem nawet i cnota. Jakże częste przykłady, że ludzie, co w kwiecie życia dawali dowody najczystszej miłości rodzaju ludzkiego, na starość stają się samolubami i odludkami!”

– „Przykładów takich, niestety! zbyt wiele. Lecz [28] pojedyncze wypadki nie obalają ogólnego prawidła. Mówisz Pan o najczystszej miłości rodzaju ludzkiego nim go poznali: Jakże można kochać to, czego się nie zna, i co po poznaniu zdaje się być nie warte kochania? Nie – to nie miłość rodzaju ludzkiego [.] to rozmiłowanie się w płodach własnego urojenia. Gdy doświadczenie nauczy, że świat jaki Bóg stworzył jest inny, niżeli go sobie wystawiamy, zamiast się sami stosować do niego, i pojęcie o nim poprawić, swarzymy się z losem, że wszystko do naszych marzeń stosować się nie chce. – Wierz mi Pan, zawodu w życiu doznają tylko serca próżne, pełne zarozumiałości i samolubstwa! Odczarowanie następuje, nie wskutek poznania świata, ale wskutek poznania nicości urojeń naszych. Kto odludkiem został, ten nigdy, prawdziwie ludzi nie kochał, bo gdzie jest miłość, tam jest pobbazanie. Inną jest rzeczą powstawać na zdrożności i błędy ludzkie, a inną powstawać na ludzi i od nich się zupełnie odłączyć. Pierwsze cechuje usposobienia pałające szlachetną miłością rodzaju ludzkiego, gdyż te najmniejszą obojętne na ułomności swoich współbraci, ale potępiając błędy nie przestają ich kochać.”

– „Nie mogę zaprzeczyć, że Pan trafnie bardzo rozumiesz, a jednak czuje głęboko i wierzę [.] iż młodość kiedy tego wszystkiego nie znamy, jest najszczęśliwszą porą [29] życia i świat byłby rajem, gdyby także życie płynęło jak sobie w młodości o niem marzymy.”

– „Zależy od tego, co Pan szczęściem zowiesz. Można wprowadzić jeść, pić, spać, oddawać się słodkim marzeniom, albo nie myśleć nic wcale, i o nic się nie troszczyć, ale wtenczas prawo nasze do człowieczeństwa jest bardzo małe. Życie takiego trutnia może być tylko wyjątkiem i jest zawsze dla ludzkości ciężarem. Ażeby żyć jako człowiek potrzeba pracy i znoju, potrzeba używać rozumu i woli,

ażeby świat materialny zwyciężyć i dla siebie przyswoić: a przy tem konieczne są walki z przeciwnościami, które częstokroć swobodę i

– szczęście nasze zatruwają. Szczęścia zupełnego nigdy na ziemi doczekać się nie możemy, ale największe do niego zbliżenie jest życie czynne w obrębie powinności wartej i chętne poddawania się temu, czego zmienić nie możemy.”

– „Rozsądek: przyznaję słusność Panu, ale serce mówi inaczej i to zdaje się być głosem powszechnym ludzkości:

*Młodości! Ty nad poziomy itd.*<sup>28</sup> [30]

Poezji w podobnym guście znajdziesz Pan w każdym języku, w każdym kraju i czasie.

<i>„Z kwiatu życia w przód nektar się pije</i>	<i>„Life’s cup is nectar at the drink</i>
<i>Coraz mnie smaczny im dłużej się żyje</i>	<i>Midway a palatable drink</i>
<i>A czarna gorycz na spodzie.”</i>	<i>And wormwood at the bottom</i> <sup>29</sup>

Na te słowa Asesor powstał, ujął mnie za rękę i uściskawszy rzekł: „Widzę, Pan jesteś Polakiem duszą i ciałem, jest to naród w wysokim stopniu uczuciowy, rozumowaniem Panów nie zmoże.”

– „Przyjmuję to jako pochwałę charakteru naszego [,] z którego słusznie szczyć się możemy. Bogdaj to żyć z ludźmi prawego uczucia i dobrego serca!”

– „Wyznam że tylko w części podzielam zdanie Pańskie. Nie dość mieć uczucie i serce, trzeba i rozumu, coby je pokierować umiał. Tylko równowaga tych władz stanowi charakter piękny i pożyteczny.”

– „U nas głównie patrzymy na dobre serca, byle charakter był piękny, nie jesteśmy dość interesowani, aby szukać we wszystkim pożytku.”

– „Wiecznie dla tego też, przy tylu zaletach i cnotach, przy tak niezaprzeczo-nych zdolnościach jakie w ogóle posiadają Polacy, naród jest nieszczęśliwy i wiele krzywd poniósł.

– „Nie zasłużone nieszczęście nie hańbi,” [31]

– „Zawsze jednak świętym jest obowiązkiem narodu, ażeby dbał o uchronienie się od nieszczęścia, jeżeli go może uniknąć.”!

– „Nie nasza w tem wina!”

<sup>28</sup> Fragment wiersza Adama Mickiewicza „Oda do młodości”.

<sup>29</sup> Cytat z „Memoirs, Letters, and Comic Miscellanies in Prose and Verse, of the late James Smith...”, Philadelphia 1841.

– „Ale przodków waszych, wysłuchując właśnie tylko swego uczucia, idąc za popędem skłonności, niebacznymi na głos rozumu, przez niedbałość, gnuśność, samolubstwo, pogwałcenie wolności i brak miłości ojczyzny zatracili ojców swoich puściznę.”

– „Jak to” zawołałem oburzony, [...] I Pan zarzuca Polakom [...] że nie kochali ojczyzny! Gdzież naród w większe w tym względzie robił poświęcenie, większe ponosił ofiary!”

– „Dla odzyskania tego, co lekkomyślnie utracił, i w ten czas gdy już było za późno, ale w swoim czasie nikt nie zapobiegł temu i każdy tylko myślał o sobie, byle jemu się dobrze działo, niechaj się zresztą dzieje co chce. Jest że to miłość ojczyzny i dobra ogólnego! – Nie jest że to największe samolubstwo! Co się zaś tyczy wolności, ten tylko poszczycić się może, że ją kocha, kto ją i w innych szanować umie. A czy takim było postępowanie polskich magnatów?”

– „Dla jednej klasy cały Pan naród potępiasz.” [32]

– „Mówię o tych co czynnie występowali na scenę i w imieniu całego narodu działali.”

– „Ale dla małej liczby może więcej nierozsądnych jak złych całego się narodu potępiać nie godzi.”

– „Nie potępiam narodu bynajmniej, tylko wspomniawszy jego przeszłość powtarzam co było i czemu zaprzeczyć nie można.”

– „Ale naród nie tylko z magnatów się składa, byli i inni w narodzie. [”]

– „Lecz cóż o nich powiedzieć można? Jedni [...] żeli, zili!, inni znosili cierpliwie, a inni obojętnie na bezprawie patrzyli. Nie wątpię [...] że byli i dobrzy szlachetni obywatele pragnący szczerze dobra narodu, ale ich głos wołający na puszczy przebrzmiał bez skutku i żadnego nie wywarł wpływu, bo u ogółu nie znalazł poparcia.”

– „Zbyt surowo Pan sądzi Polaków i nie dziwię temu bynajmniej,” odrzekłem dotknięty boleśnie.

– „Nie mam żadnego nato powodu, jak tylko rozbiór krytyczny wypadków historycznych,” odpowiedział spokojnie Asesor, niezrażony wcale tonem mojej przymówki. „Zapewniam Pana, że ani miłość, ani nienawiść wpływu na to zdanie nie mają. Pojedynczy Polak, jak się Pan zapewne już dostatecznie przekonałeś, jest wysoko u nas, a może wszędzie ceniony; bo Polacy mają wiele zdolności i cnot osobistych, ale [33] zdania o całym narodzie nie tak korzystne, bo rozum praktyczny działający dla dobra ogółu mniej rozwinięty, a cnoty publiczne od wieków zaniedbane.”

– „Czyż można sądzić dobrze o każdym pojedynczym z osobna, a źle o wszystkich w ogóle! To zdaje się sprzecznością.”

– „Nie zupełnie: bo co jest dobrem i pięknem w życiu prywatnym, nie konieczne jest pożytecznym dla całego narodu, a częstokroć może mu być szkodliwym.”

– „Jak to rozumieć! Wszak naród z jednostek się składa [,] co jest dobrem w jednostkach musi być dobrem w narodzie.”

– „Nie konieczne: Wezmy n.p. cnoty tak piękne w prywatnej osobie jakimi są wspaniałomyślność, szczodrość szlachetność, łaskawość [–] w osobie publicznej stają się powiększej części wadą i nieraz występkiem i zawsze muszą mieć zgubne następstwa. Sędzia łaskawy i pobłażający na przestępców i zbrodniarzy jest zarzą społeczeństwa, gdy przeciwnie darujący własną winę jest jego ozdobą. Poświęcenie własnego życia i majątku, z którego naród ma prawo korzystać jest zbrodnią. Każdy majątek prywatny jest własnością narodu, dobrem publicznym, którego trwonić nie można bezkarnie. Rzucić hojną ręką złoto i świecić bogactwy po za granicami kraju, może się podobać tym co z tego korzystają, ale bynajmniej nie dowodzi [34] patriotyzmu, owszem, tylko próżności, samolubstwa i lekceważenia swego narodu. Weź Pan n.p. Francuzów, oni inaczej postępują, bo są narodem praktycznym, który nigdy o własnej nie zapomni korzyści i o rękojmiach dla bezpieczeństwa swego. Mówią wprowadzie wiele o *Gloire*<sup>30</sup> i *fraternité*<sup>31</sup>, ale jedyna dla nich *Gloire* jest wielkość i potęga Francji. Gotowi nawet wspaniałomyślnie przyjść w pomoc drugiemu, w końcu zawsze znajdują swą korzyść w tem i pamiętają o wynagrodzeniu dla siebie. Ku temu celowi wszystkie dążenia pojedynczych osób zwrócone i nic nie ma świętego, gdy idzie o sławę i potęgę wielkiego narodu. Dla czego Rzym był tak wielkim? bo było w nim ślepe posłuszeństwo prawu mającemu dobro ogółu na celu i w obliczu jego wszystkie inne miłki uczucia. Kiedy Brutus<sup>32</sup> wydał wyrok śmierci na własne dzieci, kiedy Horacjusz<sup>33</sup> zabił płaczącą za nieprzyjacielem ojczyzny siostrę, kiedy Manlius<sup>34</sup> kazał liktorom osmagać i ściąć własnego syna, nie słuchali uczuć serca, ale głosu rozumu. Nie usprawiedliwił Manlius syna, że go wódz Gallów Mucjus Germanicus z urąganiem do walki osobistej wyzywał

<sup>30</sup> Chwały

<sup>31</sup> Braterstwa

<sup>32</sup> Lucius Iunius Brutus (zm. 509 r. p.n.e.) – siostrzeniec króla rzymskiego Tarkwiniusza Pysznego, pierwszy konsul republiki rzymskiej.

<sup>33</sup> Marcus Horatius (poł. VII w. p.n.e.) – wedle legendarnego przekazu jeden ocalały z trzech braci w walce z trzema innymi braćmi (wszyscy zginęli) po stronie przeciwnika, z których jeden był ukochanym jego siostry.

<sup>34</sup> Titus Manlius Torquatus (poł. IV w. p.n.e.) – w rzymskiej tradycji wcielenie cnoty dyscypliny, kazał stracić swojego syna Tytusa Manliusa młodszego za nierozważne podjęcie walki, choć przy zgodzie obecnego przy tym konsula, ze znacznie silniejszym galijskim wojownikiem Mutiusem Germanicusem (?) w 361 r. p.n.e., przez skłonił najeźdźców do wycofania się.

i wahania się jego nazywał tchorzostwem, niezważał na to, że syn wyszedł zwycięsko z tej walki i że w obliczu nieprzyjacielskich szyków zabił ich wodza i z jego głową w tryumfie wracał do swego obo[35]zu, pomniał tylko na to, że syn przestąpił zakaz walczenia z nieprzyjacielem i zato go śmiercią ukarał. Jakimi ojcami byli Brutus i Manlius, jakim bratem Horacjusz? ale jako obywatele byli wielcy.

Weźmy teraz inny przykład z historii polskiej. Sobieski bez wątpienia najlepszym najczulszym był mężem, najprzywiązańszym ojcem, ale obywatelem, ani później dobrym nie był królem. Gdy Turcy napadli Polskę, on zamiast bronić granic, jak na hetmana przystało, intrygował z prymasem przeciw królowi w Łowiczu<sup>35</sup>, a gdy król pozbawiony wsparcia najpotężniejszych osób w kraju prymasa i hetmana, musiał zawrzeć pokój z nieprzyjacielem, Sobieski niespodziewanie napadł na obóz Turków i straszną im pod Chocimem<sup>36</sup> zadał klęskę. Naród zamiast pociągnięcia go do odpowiedzialności za odnowienie wojny na swoją rękę, bez wiedzy stanów, ciesząc się chwilowym tryumfem obrał go królem. I jakież było następstwo? Kiedy Rzym za Horacjuszów Brutusów i Manliusów wzniósł się do najwyższego stopnia potęgi i sławy, Polska w niecałe sto lat po owym świetnym zwycięstwie pod Chocimem rozebrana została, nie dobywszy nawet szabli na swoją obronę, a Sejm ten rozbiór potwierdził. –

Widzisz więc Pan, że cnoty prywatne i publiczne nie zawsze są jedne. W Polsce wielu Pan znajdziesz [36] czułych małżonków, starannych ojców, szlachetnych przyjaciół, wiele kochających żon, przywiązanych do matek i dobrych dzieci, ale dobrych obywateli mało. Przyjaźń i stosunki osobiste rządzą wszystkim, a dla nich się dobro ogółu bez wachania [!] poświęca.

Coż może być miłszego jak te wzajemne stosunki przyjaźni między urzędnikami i obywatelami, ta pewność, że w dobrej czy złej doli, w każdej chwili, w każdej potrzebie, jeden może polegać na współczuciu i pomocy drugiego i że jeden drugiego nie opuści w nieszczęściu. Ale najczęściej dzieje się to kosztem publicznym, z ubliżeniem słuszności i prawa. Wszystkie ustępstwa urzędnika na korzyść prywatnej osoby dzieją się kosztem ogółu. A te małe grzeczności, tak weszły w zwyczaj, że na nie nikt prawie nie zważa. Niech kto postąpi krok dalej, niech popełni nadużycie, na które prawo oznacza karę, wszak i to nie jest rzeczą rzadką, szczególnie tam, gdzie zachodzi zwykle bezkarnie, zaraz się znajdą przyjaciele i sąsiedzi, którzy winnego osłonią. Poruszają się wszystkie sprężyny szlachetnych

<sup>35</sup> Jan Sobieski należał do opozycyjnego wobec króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego (panował w latach 1669-1673) profrancuskiego stronnictwa malkontentów i w celu dalszego przeciw mu działania spotkał się w grudniu 1672 r. w Łowiczu z prymasem Polski Mikołajem Prażmowskim.

<sup>36</sup> Wielki hetman koronny Jan Sobieski z 30 tys. żołnierzy odbił 11.11.1673 r. twierdzę chocimską, zajęta przez 35 tys. żołnierzy tureckich pod dowództwem Husejna Paszy.

uczuc, pamięć na dawniejsze stosunki przyjaźni, wzgląd na nieszczęśliwą żonę, dzieci i rodzinę, ażeby nie opuścić kolegę, któremu się posliznęła noga, i wskutek tego cała sprawa [37] albo zupełnie zatarta, albo tak przedstawioną bywa, że taki urzędnik w najgorszym razie na inną przeniesiony bywa posadę, gdzie z większą ostrożnością napowrót swoje robi. I tak przez wzgląd na żonę i dzieci jednego zlego urzędnika, ten uzyskuje wolność krzywdzenia nadal publiczności, tylko się więcej strzeże, żeby go w nie zdradziła. Jakież stąd dobre mogą wyniknąć następstwa?"

– Chciałem odpowiedzieć, ale wtę wszedł Pan Topper i to położyło koniec naszej na teraz rozmowy.

Choć niepragnąłem robić tu znajomości, ale nie mogłem odmówić zaprosin na jutrzejszy obiadek do P. Topper, ażeby tam poznać jego żonę Polkę, o której mi przy pierwszym poznaniu się naszym wspomniał. Udałem się tam z całą rodziną Staniek.

Dom Państwa Topper w całym swem urządzeniu wewnętrznym cechowała zamożność. Pani Topper musiała niegdyś być niepospolicie piękną, ślady tego jeszcze były widoczne, ale cierpienia i choroby więcej jak lata zatarty ten świetny blask urody, którem niegdyś jaśniała. Głos jej wdzięczny i miły niepospolitej nabrał słodyczy, gdy przemówiła do mnie ojczystym językiem i w nim też najwięcej się między [38] nami się toczyła rozmowa. Nim dano znać, że obiad na stole, weszła jej córka jedynaczka Marja czternastoletnia dziewczyna, istny obraz matki, lecz świeża zdrowa wesola w całej krasie młodości: nigdy nie widziałem nadobniejszej postaci, piękniejszych rysów, miłszego wyrazu twarzy. Z nią była, znana już nam, Helenka z Jarocina, także przystojna i miła, ale zupełnie zgasała przy niepospolitej urodzie Marji.

Pani Topper przemówiła do córki po polsku, i zachęcała ją by w tem języku ze mną się przywitała, ale się tylko zapłoniła mocno i odpowiedziała, że się nie może na to odważyć. Po nijakim wszakże czasie [ ] gdym się kilkokrotnie sam do niej po polsku odezwał, poznałem, że język nasz nie był zupełnie jej obcym. Nie tylko rozumiała wszystko, ale i wyrazić się nieco mogła. Wyrażanie jej, nie zupełnie czyste w pieszczotliwym jej głosie dziwnego nabierało wdzięku, który mnie do rozmowy z nią zachęcał.

Obiad Pani Topper był dobry, a nawet poniekąd wykwinny, wina wyborne, rozmowa ożywiona i towarzystwo wesole. Wrocivszy do bawialnego pokoju panie zagrały na fortepianie, potem Karol z siostrami zaśpiewał, a później robiono nijakie usiłowanie [ ] by spróbować tańca, ale towarzystwo było zbyt [39] małe, ażeby tę zabawę długo podtrzymać. Pani Topper lubo trochę cierpiąca, była bardzo uprzejmą i umiała nadać ton elegancji wszystkiemu, co się w koło niej działo sły-

sząc, że przed przyjazdem do Wrocławia w roku zeszłym bawiłem kilka tygodni w Poznańskim, obsypała mnie pytaniami o mieszkańcach tamtych okolic, które już od dwunastu lat opuściła. Traf zdarzył się [,] że właśnie w bliskości rodzinnego jej miasta przebywałem i mogłem nie jedną wiadomość o znajomych jej osobach udzielić. Dziwnem mi się wydało, że, mając tam bliskich krewnych i wiele bardzo znajomych między najzacniejszymi rodzinami obywatelskimi, przy takich ułatwieniach podróży od tylu lat rodzinnych stron nie odwiedziła, a na zrobioną jej w tym względzie uwagę odpowiedziała:

– „Wybierałam się tam kilkakrotnie, raz nawet miałam zamiar odwiedzić mą córkę do Poznana, aby tam przy innych naukach lepiej się z polskim obeznała językiem; mąż moj pochwalił moje zamysły, ale w stanowczej chwili myśl rozstania się z dzieckiem [,] jedyną moją pociechą, odwiodła mnie od przedsięwzięcia; a zresztą wszystkie stamtąd stosunki zerwane. Nic tam nie szukam; tu moj mąż, tu moje dziecię tu świat [40] moj cały, po za ten obręb zyczeń mych wynosić się nie godzi. Dla czczej ciekawości pojechać tam nie chciałam; po co odnawiać żal opuszczenia na nowo miejsc drogich, z których od lat dziecinnych w mej duszy niezatarty obraz pozostał! A boleśniej pewnie byłoby jeszcze widzieć wszystko zmienione.”

Zajęcia gospodyni domu nie pozwoliły jej wyłączną ze mną prowadzić rozmowę, gdy znów do mnie wrocila, nie śmialem wznowić przedmiotu, który wyraźnie tak rzewne budził wspomnienia.

Rozmowa ogolna toczyła się wiele o wolnem strzelaniu do tarczy, które (w przyszłym tygodniu na Zielone świętki) miało mieć miejsce i do którego w całej okolicy wielkie robiono przygotowania. Było to uroczystość ludowa, jak mi mówiono, godna widzenia, która się tylko co lat trzy odbywa i jedne z swietniejszych w swoim rodzaju. Młodzi i starzy na nią się cieszą i już od kilku tygodni tylko o tem bywają rozmowy. Ledwo dałem się nakłonić, ażeby przyspieszywszy drugą część mej wycieczki w góry Kurkonowskie po powrocie kilka dni dłużej tu zabawić i temu się obrzędowi przypatrzeć. Lubię wszystko co jest ludowe, gdzie się charakter i dusza ludu swobodnie w zabawie i wesołości [41] objawia.

Następnego dnia z rana wyjechaliśmy z Karolem karetką pocztową do Hirschberg<sup>37</sup> a stamtąd znów pieszo poszliśmy w góry. Minęliśmy kilka wsi pięknych, bogatych w rozkosznem położeniu w dolinach międzylesistemi i wzgorzami i postępowaliśmy coraz wyżej ku Snieżnej kupie<sup>38</sup> (Schneekoppe) najwyzszemu

<sup>37</sup> Jelenia Góra

<sup>38</sup> Snieżka (1602 m). Warto wspomnieć, że nazwa taka użyta została przez Józefa Lompę w „Krótkim rysie jeografii Szląska dla nauki początkowej” (Głogówek 1847, s. 5).



objawia.

Następnego dnia rano wyjeżdżamy z Karcu  
 Koneckim pułtowym do Hirsberg a stamtąd równo  
 pięć godzin w górę. Mniej więcej kilka dni  
 pięć godzin, bogactwa w rozkośnym położeniu  
 w dolinie między leskami wzniesieniami, spody  
 powstają coraz więcej tu stricimij kupie (skos  
 koppe) najwyraźniej wytworzi goi kuchoniska  
 Wdróżuje się na wzniesieniu Droga prowadzi przez  
 gęste lasy, drzew niebotycznych, ale przeważnie pałacy  
 groniz, roślinności się zmienia, nie pniecie  
 ni kilka w igliwi, ni szalicyj ni tytko pa  
 roroczenie ni ktem porobie odłamy skaf: ktem  
 ni; dalej znów zmienia się na podane, czyli par  
 lunistka gorali i w jednej z nich kwiłko albo ch  
 pny nadchodzącej strony, rozkłada się na spowoj  
 nalia nadej. Wiskoz zmienia się w spowoj  
 w taki odłamek mijem szalicyj wygody  
 ale nam przewidziano, że wzniesienie w powie  
 wzniesienie tu najz górę; wsiemi rós, ani się ni  
 mie odwinda, ani tu same nad kwiłko rós  
 ków obrotu domu oddala się, mi w rós. Kwił  
 Daluś przed wzniesieniem, szczyt o wznies

szczytowi gór Kurkonowskich. Wdzierając się na wierzchołek droga prowadziła przez gęste lasy, drzew niebotycznych, ale przeszedłszy pewną granicę roślinność się zmniejszała, na przestrzeni kilku sążni<sup>39</sup>, nie znaleźliśmy nic tylko porozrzucane mchem porośłe odłamy skał i kamieni; dalej znów weszliśmy na polanę<sup>40</sup>, czyli pastwiska goralii i w jednej z ich kolibów<sup>41</sup> albo chat<sup>42</sup> przy nadchodzącej nocy, zostaliśmy na spoczynek i nocleg<sup>43</sup>. Większą nizeliśmy się spodziewali w tak odludnym miejscu znaleźliśmy wygodę, ale nam powiedziano, że szczególnie w letniej bieżących tu mają gości; w zimie zaś, ani ich nikt nie odwiedza, ani też sami nad kilkadziesiąt kroków około domu oddalić się wazą. Nazajutrz daleko przed świtem powstaaliśmy, chcąc o wschodzie [42] słońca być już na miejscu. Jeszcze ciemność spoczywała na ziemi, gdyśmy wyszli z kolibu, ale nad nami niebo ognistą zapłonęło łuną i okryło się do koła blaskiem purpury. Od wschodu światło się coraz wzmagalo i przybierało z każdą chwilą jaśniejsze barwy rubinów [...] bursztynu i złota. W dolinach nie widziałem tak pięknej zorzy. Idąc pospiesznie z niewzruszonym spojrzeniem schodziliśmy pierwszego ukazania się słońca. Już zbliżyliśmy się do wierzchołka góry, gdy jeden punkt na [gorze – skreślone] żywym zapalił się ogniem i jaskrawy promień strzelił nam w oczy; jego światło wzmagalo się szybko, szerzyło i wznosiło, a gwiazda dzienna w kształcie ognistej kuli wtoczyła się zwolna na niebo, drgała jeszcze chwilę na horyzoncie, jak gdyby z wysiłkiem tylko odrywała się od ziemskich krawędzi i w niewstrzymanym biegu, postępując śmieiej w górę, coraz jaśniejsze rzucała światło, i w krótko wszystko swym blaskiem olśniła. Przed jej obliczem ciemność w coraz się głębsze ukryła doliny, ale i tam się długo ostać nie mogła. Zrazu lekka mgła rozciągnęła przejrzystą zasłonę nad obrazem rozłożonym pod naszymi stopami, ale i ta nie długo opadła, a w całej pogodzie i jasności ukazał się naszym oczom jeden z najwspanialszych i najpię[43] kniejszych widoków natury. Wzrok nieznacznie wstrzymany przebiegał przestrzeń kilkudziesięciu mil kwadratowych<sup>44</sup>, a mnóstwo wsi, miast, pól, lasów, gór, łąk [...] pagórków w nieskończonej różnaitości kształtów barw i cieni przedstawiały obraz zachwycający.

Liczne wzgórza, któreśmy wczoraj albo z trudnością przebywali, albo z zachwy-

<sup>39</sup> Sążeń – około 1,7 m. R. Kincel przyjął długość sążnia nowopolskiego = 1,728 m.

<sup>40</sup> Zwraca uwagę użycie tego słowa, oznaczającego porośnięte trawami i ziołami wykarczowane grunty, zastąpione po 1945 r. przeniesionym z Tatr błędnym w Sudetach terminem hala – miejsca z natury bezleśnego.

<sup>41</sup> W gwarze goralii podhalańsko-tatrzańskich koliba to szałas pasterski.

<sup>42</sup> Niemieccy mieszkańcy używali terminu Baude, pochodzącego z czeskiego bouda: prymitywny, mały domek.

<sup>43</sup> Zgodzić się trzeba z identyfikacją R. Kincla tego obiektu jako Hampelsbaude (dzisiejsze schronisko PTTK „Strzecha Akademicka” na polanie Złotówka), wspomnianą już w 1642 r. i zapewne od początku służącą noclegami i wyżywieniem wędrowcom, leżącą przy najpopularniejszej – do dziś, trasie na Śnieżkę.

<sup>44</sup> Jeśli przyjąć miłę pruską, to 1 mila kwadratowa = 56,74 km<sup>2</sup>.

cenieniem spoglądali na ich wierzchołki, widziane z tej wysokości zdały się jak kopce niewielkie ledwie się nad poziom wznoszące, ludne miasta, w których tyle bogactwa [...] występku i ńędzy się mieści, zdały się małym punktem, który jeden rzut oka przejrzał od końca do końca. Wioski z domostwami i ogrodami i pojedynczo stojące domy, były jak kwiaty, albo pąki kwiatów rozrzucone po tej niezmiernej dolinie.

Ze strony Czeskiej widzieliśmy tylko dzikie grzbiety gór, przepaście [...] lasy i skały; wzrok nie sięgał w dolinę, ale z zadziwieniem spoglądał na tę naturę pierwotną, nagą i zimną, niby martwą jeszcze, gdzie rozum ludzki i przemysł tylko w gościnę przychodzą. Te góry wyniosły się z dumą od zabiegów ziemian, nie dając się ani ujarzmić ani uprawić [44] pozwalają im tylko, nie bez mozołu i trudu, wstąpić na grzbiety swoje, ażeby, obszerniejszym poglądem wokół siebie rozprzestrzeniwszy serce poznali swą surowe i uszlachetnili duszę ich wielkości obrazem. I my nie bez zachwycenia przenosiliśmy wzrok z jednego wierzchołka na drugi, aż przesyćeni nieskończoną rozmaitością i wspaniałością widoku spoczeliśmy w rozkosznym dumaniu. Po nijakim czasie spojrzawszy raz jeszcze do koła zaczęliśmy z wolna spuszczać się z góry.

Droga wiodąca na sam szczyt Snieżnej Kupy tego najwyższego wierzchołka gór Kurkonowskich z niemałym wyrobiona staraniem i kosztem. Po uprzątano kamienie, w spadzistych miejscach powykrawano w skałe wygodne wschody i wszelkie ile możliwości usunęło przeszkody, kilka stop szeroka ścieżka wiję się w jednostajnych zagięciach gzygzakiem na niedostępnej inaczej spadzistości, a w całej długości za opatrzona jest poręczą ustawioną z pozbieranych odłamów skały. Idąc pod góry ciekawość nasza zbyt była zajęta wschodem słońca i poglądem w daleką okolicę, i dopiero teraz mogliśmy dostatecznie ocenić tę mozolną i trudną pracę.

Na samym szczycie, prócz mchów na skałach i rozrzuconych kamieniach nie było innej rośliny [45]ści [...] ale o kilka stóp niżej na grzbiecie gór, gdzie tylko choćby najmniejsza warstwa ziemi znajduje już nie tylko trawki, ale i drzewa, karłowata sosna<sup>45</sup> czołgając swój pień po ziemi, ażeby się od ciągłych wiatrów i burzy uchronić szuka jedna zasłony przy drugiej i zbija się w gęste kępy, a iglaste gałązki na stopę lub dwie wysokości od ziemi zdają się jakby najświeższa murawa, która mile rozwesela oko wśród tej skalistej i kamienistej pustyni.

Idąc ciągle po grzbiecie pasma gór wąską ścieżką [!] której ślad tylko widoczny był po zdeptanym mchu z kamieni mieliśmy jeszcze niejedną piękny i obszerny widok w dolinę, której widziany już obraz z innej nie mniej zachwycającej przedstawił strony. I na grzbiecie samym, wśród tej martwej przyrody uderzały wyobraźnię

<sup>45</sup> Kosodrzewina albo sosna górską *Pinus mughus*.

dził fantastyczne kształty ogromnych odłamów skalistych, sterczących na kształt olbrzymich strosów tych miejsc wyniosłych tylko burzom i wiatrom dostępnych. Tak z wzgórza na wzgórze i znów nieco w dolinę w niejednym się jeszcze zatrzymaliśmy miejscu; a napotkawszy dwie chaty pasterskie<sup>46</sup>, w których dostaliśmy obfitość mleka [,] masła i sera na posiłek<sup>47</sup> spoczęliśmy trochę i puściwszy się w dalszą drogę, około południa doszliśmy do spadu rzeki Laby (Elby)<sup>48</sup> która tumanami karmiona w niewielkiej odległości od swego źródła<sup>49</sup>, już w [46] w znaczny zbiera się strumień z szumem i łoskotem rzuca się w przepaść<sup>50</sup> kilkadziesiąt stop<sup>51</sup> głęboką. Oldurzącej wspaniałości to widok. Skalistym korytem ciągnie z góry potok, bieg jego coraz szybszy, jedna fala popędza drugą, jedna drugą potrąca, nad brzegiem otchłani ich wściekłość nie zna już granic, jedna się przewraca przez drugą, i spieszy, aby się jak najprędzej dostać w głębinę, rozbita o skałę pryska [,] syczy i białą pianą zalewa mchem obrosłe ściany, tam większy strumień pośrodku porywa wszystko ze sobą i śmielszym skokiem w kryształowy łuk zgięty, raz jeszcze zaświeci czystym blaskiem promieni słońca, i w ciemnej przepaści ginie, a huk rozbitych bałwanów tysiąckrotnem grzmiotem echo powtarza. W czarnym kotle na dole zbierają się wody, przewracają [,] wrą, kipią [,] syczą i pienią, a poszukiawszy chwilę płyną spokojniej ciemnym smugiem dalej, znacząc każdy śmielszy swój skok białą pianą na grzbiecie.

Ruch jednostajnie pieniącej się wody, ten gwar bezprzestrzenny, ta namiętna gonitwa jednej fali za drugą, zdają się jakby bijące serce tej bezładnej pustyni. A przy tej jednostajności, co za rozmaitość w tem strasznym zjawisku natury! jaka wielkość i nieskończona wspaniałość! [47]

Już wieczór się zbliżał gdyśmy schodzili na dół i przybyli do wsi Rokytnice<sup>52</sup> na stronie Czeskiej.

<sup>46</sup> R. Kincel wskazał tu na Przeł. Karkonoską (gdzie pasterskie budy pojawiły się co najmniej pod koniec XVIII w.), Petrovou boudu (obecnie w odbudowie) i Martinovou boudu – ta ostatnia wydaje się jednak nieco oddalona od wydeptanego szlaku po wierzchowinie Śląskiego Grzbietu, by wędrowcom chciało do niej zbroczyć. Zresztą na pewno nie było, tak jak dziś, kierunkowskazów do niej.

<sup>47</sup> Typowe i powszechne wówczas możliwości aprowizacyjne i oferta karkonoskich budziarzy.

<sup>48</sup> Polska nazwa: Łaba.

<sup>49</sup> Pramen Labe: symboliczne źródło na wysokości 1387 m Łaby na północnym krańcu Łabskiej łouki, 300 m od obecnej granicy z Polską (właściwie 100-300 m wyżej), wówczas prusko-austriackiej. Od końca XVIII w. coraz popularniejszy cel wycieczek.

<sup>50</sup> Wodospad Łaby, po czesku Labský vodopád, znajduje się poniżej Łabskiej boudy, ma 45 m wysokości i dodatkowo kaskady długości 200 m w Łabskim rokle. W 1841 r. P. Dubrowski odnotował tu mały szalaś ze starą kobietą, parobkiem i 15-letnim chłopcem grającym na harfie i śpiewającym. W 1859 r. właściciel schroniska Josef Šir w górnej części wznosił stawidło dla gromadzenia wody w celu uzyskania lepszego efektu jej spływu; zanikło ono przy pożarze Łabskiej boudy.

<sup>51</sup> Zapewne stopa pruska = 0,3139 m. Jeżeli tak, to wysokość mocno przeszacowana (na około 143 m).

<sup>52</sup> Rokytnice nad Jizerou – obecnie miasto na wysokości 600-900 m powstałe z połączenia kilku wsi na Rokytnickiej hornatině, główna część jako osada górnicza w XIV w. nad Izerą w zachodnich Karkonoszach.

Następnego dnia udaliśmy się kilka mil w głąb kraju, w doliny które Izara<sup>53</sup> i Laba przerzyna. Widzieliśmy okolice nie tak dzikie i wspaniałe jak dnia poprzedniego, ale miłe i piękne, ożywione bujną roślinnością i taką różnorodnością położenia, że je do najpiękniejszych policzyć można. Widziałem później niektóre z najwięcej sławionych okolic nad Dunajem, Renem [.] Rodanem i w Alpach i w innych częściach Europy, ale nic nie zatartło tych miłych wrażeń które przy porównaniu tam, obrazy z tej pierwszej wycieczki nakreślone w umyśle, nic z swej nie straciły świetności. Oglądałem te miejsca powtórnie po latach wielu, a choć wrażenia nie były tak młodociane [.] tak żywe, sąd o nich pozostał niezmienny.

Spędziwszy tak dni kilka w swobodzie pełnej miłych i rozkosznych wzruszeń, wróciliśmy w wilią Zielonych Świątek do Jaworu, gdzie rodzice i rodzeństwo mego towarzysza serdecznie nas powitali.

Zielone Świątki! Komu tych kilka dni uroczystych najmiłszych najserdeczniejszych nie budzi wspomnień! Któż nie pamięta choć kilka chwil wesołych szczęśliwych [48] przepędzonych w tym czasie. I ja lubo młody i wiekiem i doświadczeniem, żem był daleki od swoich, z pośród zabaw i rozrywek, które mnie w gościnie czekały, nie raz myśl tęskną zwróciłem w rodzinne strony, do domu, gdzie święta te innemi zabawami i uroczystościami obchodzą.

W pierwszy dzień po nabożeństwie wróciliśmy do domu na obiad, który tam zwykle o samem bywa południu, przeszli się potem cokolwiek za miastem i resztę dnia zupełnie w kółku domowem spędzili, na gawędce, której głównym przedmiotem była jutrzejsza uroczystość ludowa strzelania do tarczy. Dziwne uprzedzenie! Uważają, że się nie godzi w pierwszy dzień świat oddawać głośnym ucieshom i rozrywkom, ale myśl o nich zaprzętną całą nie wadził!

Nazajutrz po wczesnem nabożeństwie i zaraz po obiedzie w krótkce po południu odezwały się wszystkie w mieście dzwony, nie wymując dzwonów ratuszowego zegara i wnet na całym rynku miasta i niektórych bocznych ulicach zaczęli się zbierać obywatele w kompaniach z oficerami i dowódczą na czele, ażeby się wszyscy razem w paradzie udali na Błonie Strzeleckie<sup>54</sup> o kilka staj za miastem,

<sup>53</sup> Jizera (pol. Izera, niem. Iser) – prawy dopływ Łaby, wypływający spod Łącznika w Górach Izerskich po polskiej stronie.

<sup>54</sup> Schützenplatz – powszechne w dawnych Niemczech podobne miejsca, służące ćwiczeniom strzeleckim Bractwa Kurkowego, jak nazywano w Polsce podobne stowarzyszenia, i urządzaniu rozrywek na wolnym powietrzu; w Jaworze znajdowało się na południowy-wschód od części staromiejskiej, między obecnymi ulicami Chopina i Parkową a Nysą Szaloną (por. Stanisław Jastrzębski „Jawor i okolice” Wrocław 1973 s. 80). Owe Błonia Strzeleckie to najpewniej zachodnia część dzisiejszego parku miejskiego, na zachód od wymienionych ulic.

nad brzegiem Białej Nisy<sup>55</sup> leżące. Dwie kompanie były strzeleckie, jedna konna, druga piesza, i dwie obywatelskie. Pierwsza strzelców kon[49]nych złożona z najmajątniejszych obywateli okolicy i miasta odznaczała się pewnym przepychem w koniach [.] mundurze i zbroi. Druga strzelecka mniej w prawdzie bogata była w zielonych złotem haftowanych mundurach z gwintówką na ramieniu i kordeląsem u boku. Dwie kompanie obywatelskie stanowili mniej zamożni mieszczanie i rzemieślnicy, którzy się w czarnych frakach, stosowanym kapeluszu<sup>56</sup>, w długich palonych butach i z pałaszem, zawieszonym przez ramię na czarnym rzemiennym pasie w szeregi zebrali. Widok to był okazały [.] lecz zarazem pocieszny, bo ruchy wszystkie [.] postawa i całe wzięcie się tych spokojnych i pracowitych obywateli dziwną stanowiły sprzeczność ze zbroją i szeregiem wojennym w którym wystąpili.

Każda kompania miała swoją kapelę, orszak cały poprzedzało kilku saperów w teatralnym ubraniu, ich topory [.] piły i inne narzędzia świeciły złotem, srebrem i roznobarwnymi wstęgami. Za kapelą pierwszej kompanii szedł Król Strzelców z wielkim złotym łańcuchem na szyi, na którym zawieszona była tarcza srebrna na podobieństwo tej, do której przy ostatnim strzelaniu najlepszy strzał był wymierzyl. U boku wisiała trąbka myśliwska. [50] Tłum ludzi z bliskich i dalekich stron, w świątecznym stroju, z usposobieniem radości w sercu, w oczekiwaniu i nadziei towarzyszył całemu orszakowi i zappełniał wszystkie ulice.

Przybywszy na Błonia strzeleckie, zastano je zamknięte i most wzniesiony, a dziwne jakieś postacie, poubierane nakształt duchów podziemnych broniły wejścia. Na rozkaz dowodczy saperzy uderzają w bramę, ale niestety! świetne ich narzędzia, robione z gliny lub drzewa i złotym papierem pooklejane [.] pękają i pryskają za każdym cięciem, a niby strwożeni saperzy [skreślone słowo] ustępują z popłochem. Natenczas król strzelców wychodzi, uderza w trąbkę, odgłos po całym rozchodzi się błoniem i dziwnie pięknem odbija się echem. Byli to zżęcznie poustawiani pomiędzy drzewami trębacze, którzy ten głos trąbki w rzewnej rozwijają karność. Na ten znak się król zbliża do bramy, dotyka się jej laską i natychmiast, jakby czarodziejską siłą, wszystko się zmienia, most opada i wznosi się wieńcami okryta brama tryumfalna, a w miejsce owych czarnych kudłatych postaci ukazuje się dwanaście dziewic w bieli z kwiatami, które syjąc królowi pod nogi, zapraszają go do swego Państwa. [51] Przy odgłosie grzmiącej muzyki cały orszak idzie za królem wprost do domu strzelniczego, aby niebawem rozpocząć strzelanie w zawody; a lud, który po wszystkie czasy kochał się we wszystkim co tylko przedstawia jaki kolwiek

<sup>55</sup> Obecnie Nysa Szalona, prawy dopływ Kaczawy na Wysoczyźnie Chojnowskiej.

<sup>56</sup> Kapelusz stosowany albo bikorn – powszechne w XVIII-XIX w. jako eleganckie i oficerskie męskie nakrycie głowy z zagiętymi jakby rogami (stąd druga nazwa) z przodu i z tyłu.

pozor cudowności i tu nadzwyczajnym uniesieniem radości i głośnemi okrzyki witał te dziwne przemiany i tak uroczystą czią na to wszystko patrzył, jakby istotnie wierzył w czarodziejską siłę trąbki i laski króla strzelców, a tę igraszkę dzieciinną za najpiękniejszą część całej wystawy uważał.

Na Błonie strzeleckim porobione już były wszystkie przygotowania do zabaw i przyjemności wszelkiego rodzaju, namioty, budy, ławy, stragany, karuzele, huśtawki w różnych wznoszą się miejscach; koszykarze, przekupnie, szarlatani i wydrwigrosze każdego rodzaju zalecają swe towary lub sztuki, a prócz długiej alei od domu strzelniczego do tarczy, wysadzonej gęsto dwoma rzędami lip i kasztanów, całe obszerne błonie wypełnione radującym się ludem. Odgłos hucznej muzyki i zgłęb radosny przyległe odbijają wzgórze.

Gdy słońce zaszło, skwar dzienny ustał i zmrok wieczorny z wolna swą zasłonę rozłożył, błonie to jeszcze więcej uroczy przedstawiało widok. Tysiące [52] świateł migających wśród drzew zielonych i liści przypominały te czarowne obrazy, o jakich, czytając powieści arabskie marzymy. Jakież słodkie są chwile podobnego wypoczynku dla ludu! wieleż to trosk, zmartwienia, zgryzot i kłopotów się nie zapomina! wieleż to przyjemności, zabawy, rozkoszy i nadziei, wiele miłych wspomnień na całe życie zostaje!

Strzelanie to i towarzyszące mu rozrywki trwają tydzień cały. Każda kompania ma swój barak, gdzie się jej członkowie z rodzinami i gośćmi zbierają i gdzie wspólnym kosztem przyjmowani bywają. W dzień chodzą po błoniu, patrzą na różne widowiska, a wieczorem zbierają się na zabawy tańczące. Prócz tego jest wiele namiotów publicznych przystępnych i dla najbiedniejszej klasy, gdzie służące i czeladź rzemieślnicza na swój sposób bawi się i tańczy; ale to nie przeszkadza, że w tym samym czasie, o kilkadziesiąt kroków dalej jest pyszny barak, gdzie się arystokracja okolicy na świetny bal zbiera.

Główna zabawa tańcząca dnia pierwszego miała miejsce w namiocie strzelców konnych, na który zaproszono oficerów i znakomitsze osoby innych kompanii. P. Topper był członkiem tej kompanii, a Asesor z rodziną i ze mną w liczbie za[53] zaproszonych. Była i Pani Top[p]ler z córką, która w skromnej białej sukni, bez wszelkich ozdób, prócz sznurka koralu na szyi, mimo zbyt młodego wieku jaśniała urodą nad wszystkie dziewice. Towarzystwo choć liczne, było dobrane, a przy wytworności, nawet pewnym rodzaju zbytku w urządzeniu namiotu przebiegała się swoboda natury [.] drzew, pól i gajów. Bawiono się wesoło do rana; a że w gronie tym najpiękniejsze dziewice do znajomych liczyłem i ja miałem niepospolity udział w zabawie. Już słońce w blasku porannej zorzy znaczyło swój bliski wstęp na niebo, gdyśmy do miasta wracali.

Nazajutrz Państwo Topper byli na obiedzie u Asesorów; było jeszcze kilkoro innych gości: syndyk miejski i dwóch kupców, każdy z rodziną. O punkt 12<sup>tej</sup> godzinie waza była na stole. Po obiedzie, ponieważ zbyt było gorąco wyiść na przechadzkę, młodzież popisywała się kolejno muzyką i śpiewem, a starsi kończyli rozpoczętą przy obiedzie rozmowę, gdzie rozprawiając z wielkiem zajęciem o drobnostkach miejscowych głośnym nieraz śmiechem wienńczyli własne dowcipy.

Gdy Karol z siostrami i synem syndyka [54] śpiewali rzewną jakąś Symfonię usiadłem na sofie i słuchając zadumałem się o rodzinnym kraju. Wtem Pani Topper, zbliżywszy się do mnie, wszczęła rozmowę, która niebawem zwrocila się na wspomnienia z X<sup>wa</sup> Poznańskiego<sup>57</sup>. Na wszystkie jej z tamtąd obrazy rozlewał się jakiś wdzięk poetyczny, jakiś urok serdecznej tęsknoty. Wnosiłem więc, że młoda w owe lata spędziła tam w niezwykłym szczęściu i rozkoszy; bo mimo dostatków, nawet zbytku, co ją we własnym otaczał domu, pomimo szacunku nieledwie uwielbienia jakiego doznawała u ludzi, źle tylko ukrywała żal za rodzinną ziemią. Ale pozory mylą. Podobieństwo uczuć wzbudziło w niej zaufanie i w poufalej rozmowie opowiedziała mi tyle szczegółów ze swej młodości, które mnie przekonały [ ] że wszędzie życie przeplatane goryczą i że zupełnego szczęścia nigdzie nie ma na ziemi.

Rodzice jej posiadali dość znaczny majątek ziemski w bliskości Wągrowca<sup>58</sup>, ale ojciec wczesnie umarł zostawiając wdowę z dwojgiem małych dzieci i mnożstwem interesów na źle zagospodarowanym majątku. Matka, pozbawiona opieki męża po kilkoletnich dorocznych usiłowaniach prowadzenia samej gospodarstwa, nie mogąc sobie dać rady, puściła majątek w dzierżawę i osiadła w Poznaniu, w nadziei że i [55] interesa poprawi i dzieciom będzie miała sposobność dać lepszą naukę i wychowanie. Ale szczęście jej nie sprzyjało. Dzierżawcę wybrała z poręki znajomych, który się nieznał na gospodarstwie [ ] był przytem niedbały, inwentarze mu padły, zniszczył więc majątek do reszty, a w końcu sam znikł. Z dzierżawy się nie wypłacał, a na domiar ztego się spalił. Pieniądze na odbudowanie folwarku w części zmarnował, o to rozpoczął się proces, który tyle przyniósł kosztów i zmartwienia, że nieszczęsną dziedziczkę do grobu wprowadził.

Pozostałe sieroty wzięte zostały na opiekę do stryja, majątek pozostał w dzierżawie i proces toczył się dalej. Starszy brat Stanisław oddany był na pęsję [!], ażeby skończył szkoły, a siostra Jozia młodsza bawiła ciągle u stryja. Ale jej pobyt tam nie był rozkoszą: Stryjenka i siostry stryjeczne z zazdrością patrzyły na rozwijające się wdzięki młodej sieroty i nie raz dawały jej poznać zależne jej stanowisko. Tak

<sup>57</sup> Księstwa Poznańskiego.

<sup>58</sup> Wągrowiec – miasto na Pałukach, 60 km na północo-wschód od Poznania, w obecnym woj. wielkopolskim.

upłynęło lat kilka: Staś skończywszy szkoły poszedł na praktykę gospodarstwa do jednego z przyjaciół ojca, czekając na odebranie własnego majątku, który był ciągle w procesie – a Jozia pozostawała [56] w domu stryja. Ale im więcej niepospolita jej uroda zwracała uwagę młodzieży, przyjaciół i gości, tem większe robiono usiłowania, by ją od towarzystwa odsunąć, a każde słowo uprzejme, każda grzeczność od obcych, zrownoważone zostały cierpkim obejściem od swoich. Biedna Józia, nie jedną łzę wylała w cichości i w nikim nie znalazła współczucia!

Pomyślniejsze jednak otwierały się widoki. Po wielu latach proces w ostatniej instancji wygrano i wyrzucono dzierżawcę, lecz że on dawno był bankrutem nie było za czem szukać zwrotu kosztów i poniesionej straty. Wszakże Staś, odbierając majątek na siebie, złotem się łudził marzeniem, a przez bogate ożenienie spodziewał się i interesa poprawić i siostrze w swym domu zgotować przytułek. A to bogate ożenienie, cel do którego tylu bezprzestannie wzdycha i zmierza, przestało dla niego być czczem marzeniem – już mu się nawet z bliska uśmiechał. Poznawszy Panią S<sup>+</sup> przyjaciółkę siostry umiał się jej podobać, a i rodzice widząc w nim przyzwoitego zacnego młodzieńca nie mieli nic przeciwko niemu i wszystko już było jakby ułożone; posagiem żony miał spłacić interesa i podnieść upadłe gospodarstwo. Ze wszech stron naj[57]piękniejszą się łudzoną nadzieją. W oczekiwaniu tej zbawiennej zmiany Staś na podtrzymanie swego gospodarstwa i na konieczne wydatki przy staraniu się o posażną pannę znaczne zaciągnął długi. Znalazł łatwy kredyt; któż go w Poznańskim nie znajdzie, jeżeli ma jeszcze kawałek ziemi! Ale niestety! Stas młody i niedoświadczony, lepiej umiał tracić pieniądze niż na nie pracować. Starając się o pannę posażną i mając ją już sobie zaręczoną, żył więcej nadzieją przyszłości jak rzeczywistością. Jeździł po zabawach [.] kuligach, balach i rzadko kiedy przesiadywał w domu. Gospodarstwo też szło nie szczególnie, ale myślał sobie [.] jak się ożenię, to wszystko się zmieni i pojdzie lepiej. Lecz nie dość, że zaniedbywał gospodarstwa, nawet własnego nie szanował zdrowia. Wracając z zabawy zaziębił się mocno, ale nie zważał na to; w kilka dni potem było u wuja narzeczonej wielkie polowanie: jakże tam nie być! a będąc, jakże nie starać się [.] żeby czego nie ubić, coby mógł złożyć u nóg swej najdroższej! Brnął więc dzień cały po wilgotnym śniegu i dopiął swego, a potem noc całą przetańczył, ale wróciwszy do domu już się [.] jak to mówią [.] „na piękne” położył. Powtórne [58] zaziębienie znacznie stan jego zdrowia pogorszyło; sądził jednak, że i to przejdzie i nie używał odpowiednich środków na odwrócenie złego. Było by może przeszło, ale go dotkliwszy cios czekał.

Wśród licznych przyjaciół, których jednal sobie pocziwem swem sercem, żywością i wesołością, znalazł i takich, co z zazdrością na bogate jego ożenienie

patrzeli. Panna była urodziwa, posażna, dobra, cóż dziwnego, że ją raczej któremu ze swoich bliższych, jak obcemu życzyli! Zaczęto robić intrygi, przedstawiać stan jego interesów, siać nieporozumienia pomiędzy nim i narzeczoną i jej rodzicami. Przedstawiano go jako hulakę niedbającego o nic więcej, jak dogodzenie własnej fantazji, a najniewinniejsze jego kroki najszkaradniejszego doznawały tłumaczenia. On sam chory nie mógł się zająć własną obroną, a przyjaciele i wielu ze szczerze mu życzliwych, w niewczesnej gorliwości, dręczyli go powtarzaniem wszystkiego, co tylko na niekorzyść jego mówiono. Dziwna usługa przyjacielska! Jakgdyby on zyskiwał na tem, że żaden, z wymierzonych przeciw niemu pocisków nie chybi.

Znajdując trudności, gdzie się już zadnych [59] nie spodziewał, nie umiał znieść tych nowych dolegliwości. Osłabiony na ciele, osłabł i na duchu. Ognista jego dusza uległa pod brzemieniem zmartwienia, wpadł w gorączkę i nim wiosna rozwinęła kwiecistą szatę, już był na marach.

Jeszcze zwłoki nie spoczęły w grobie, już wierzyciele ze wszech stron się rzucili, każdy wołając o udział w rozszarpaniu majątku. Trzeba go było koniecznie sprzedać i przy tak nagłych okolicznościach osiągnięto cenę tak niską, że po potrąceniu wiarygodności hipotecznych niestarczyło nawet na zapłacenie osobistych długów. A i siostrze nie dostało się wiele, ale i to poświęciła chętnie i nic dotknąć nie chciała, póki ostatni z wierzycieli brata zaspokojonym nie będzie, żeby nikt nie mógł narzekać, że z jego winy jakkolwiek poniósł stratę. Stryi, a szczególnie stryjenka, gniewała się o tę niedbałość o własne dobro – a jako opiekunowie małoletniej jeszcze nie pozwolili rozporządzić w ten sposób majątkiem, ale panna dała uroczyste zapewnienie wierzycielom, że skoro dojdzie do lat prawem przepisanych, co wkrótce miało nastąpić – wszystkich swych praw na ich korzyść odstępuje. Słyszała z tego powo[60]du nie jedną przymówkę o dumie i niepotrzebnej pysze nędzarzy, co obcym żyjąc chlebem, nie umieją swego szanować – ale cnotliwa siostra w przekonaniu, że wypełnia święta dla brata obowiązki, znajdowała za te przesładowania pociechę.

W tym właśnie czasie poznał ją Pan Topper, który był współpracownikiem jednego z domów handlowych w Poznaniu, należącego do liczby wierzycieli s.p. jej brata i delegowany od nich do urzędzenia upadłości. Uderzony więcej jeszcze charakterem, poświęceniem i cnotą, jak niepospolitą urodą młodej osoby, oświadczył się o jej rękę. Stryjostwo wiedzieli, że ojciec jego posiadał znaczny majątek, i nierobili żadnych trudności, zwłaszcza, że nie tylko ją brał bez posagu, ale jeszcze z własnych funduszów, resztę długów brata zaspokoić przyrzekał. I tem sobie tyle panny zobowiązał, że mu nie odmówiła swej ręki. Nie mało także do tego kroku

przyczyniło się, że stanowisko jej w domu jej stryja z każdym dniem stawało się nie znośniejsze w obu złośliwych i zazdrośnych krewnych. Nie namyślała się więc długo i została małżonką Pana Topper, który dotrzymawszy swego przyrzeczenia, zapłaciwszy resztę długów niebo[61]szyczyka jej brata wywiózł ją daleko od krewnych i znajomych i w rodzinnym mieście w Jaworze na Szląsku z nią osiadł. Odtąd Pani Topper oddała się wyłącznie obowiązkom żony i matki jedynaczki swej córki. Misji, którą ich Pan Bóg obdarzył. Lubo zerwała wszystkie stosunki ze wszystkimi osobami w Ks. Poznańskim, pamięć ojczystej ziemi została jak luba tęsknota w głębi duszy ukryta i podkopała kwiat życia. Jak roza z poranną rosą zerwana jeszcze świeżą pięknnością zachwyca i woń lubą w koło siebie rozsyła, choć już nie czerpie życia ze złoconego naczynia, w którym ją osadzono; tak i ona, jeszcze była rozkoszą i pociechą całego kółka domowego i wszystkich tych co ją znali, ale zaród śmierci nosiła w łonie. Choroba piersiowa nadwątlila jej zdrowie, ale znosiła cierpienia z chrześniackim poddaniem się i uległością. Jedyłą jej rozkoszą, jedyną pociechą była jedynaczka jej Marja, która w niezrównanej piękności rozwijała się pod jej okiem; i więcej [62] jak urodę, przejęła od Matki dobroć, łagodność, pobożność i wszystkie cnoty.

Rozmowa Pani Topper nastroiła mnie do rzewnych i smętnych dumań. gdy się goście nad wieczorem rozeszli [.] ażeby się udać na Błonie strzeleckie, i my z Karolem wyszliśmy na przechadzkę za miasto. Słońce już zaszło za góry i tylko odbłask jego promieni jaśniał na niebie, z drugiej strony księżyc wzbił się wysoko, i w miarę niknącego światła dziennego jaśniejszy blask rzucał. Z błonia strzelniczego dochodziły nas dźwięki szumnej muzyki z radosną wrzawą i szmerem wesołej zabawy, a w miarę jak ciemność roztaczała powłokę, przy namiotach i ławach mnożyły się światła, które wśród świeżej zieloności drzew przedstawiały jedyny w swoim rodzaju widok. Nie dzieląc ogólnej zabawy, która w licznych wrzała namiotach, a jednak korzystając z niej i ciesząc się jej odgłosem, chodziliśmy długo ręka pod rękę, w serdecznej, poufalej rozmowie. Treścią jej były wszystkie drobnostki zajmujące młode umysły nasze obecnie i najpiękniejsze nadzieje przyszłości. Ustaliliśmy w sobie postanowienia nieskażonego cnotliwego i czynnego życia i przyrzekali sobie wspierać się wzajemnie na szlachetnej tej drodze. I tak [63] wiara, nadzieja i miłość ożywiały nas swoim tchnieniem i byliśmy szczęśliwi, jak tylko w młodości szczęśliwymi być można; bo szczęście nasze zależało nie od wielkości światowej, ale od pogodnego wieczoru, czystych uczuć serca i wzajemnej przyjaźni. I jakby w przeczuciu, że te piękne chwile zbyt szybko uleczą, przedłużyliśmy naszą rozmowę i przechadzkę do późnej nocy i wspomnienie tego wieczoru na długo zachowali w pamięci.

Następnej niedzieli cały orszak po paradzie wrócił z Błonia strzelniczego do miasta, prowadząc w tryumfie [brak kropki – niedokończony zdanie!]

Przez następnych dni kilka zabawy na błoni strzelniczym mniej były głośnie; w dzień jednak strzelano do tarczy o rozmaite wygrane i nagrody, a wieczorem zawsze się znaleźli lubownicy, co w namiotach pomiędzy drzewami lubili wypić kufelek piwa zapalić fajkę i z towarzyszami gawędzić. Ażeby być przypuszczonym do strzału na Króla Strzelców, trzeba było być członkiem której kolwiek z kompanii czy to strzeleckiej czy obywatelskich. Każdy miał prawo strzelać trzy razy, ale tylko jeden, najlepszy strzał [64] był stanowczy. Już trzeciego dnia ubiegania się o zaszczyt nowego Króla Strzelców przez najlepszy strzał ustalało. następne[go] dnia strzelano o wynagrodzenie pieniężne, pół miski cynowe, dzbany, talerze i tym podobne. Obcym po zapłaceniu pewnej stawki wolno także było o te się wygrane dobijać pod temi samemi prawami, że każdy miał trzy strzały, z których tylko najlepszy liczono. Rozdanie tych nagród jako mi ogłoszenie nowego króla odbywało się ostatniego dnia w niedzielę po świętach. Z równą okazałością jak przy wystąpieniu prowadzono do miasta nowego Króla, przystrojonego w godła nowego dostojerstwa, za nim niesiono tarczę, z widocznym znakiem gdzie najlepszy strzał trafił, i tarczę tę zostawiano w jego mieszkaniu na zaszczytną pamiątkę. Tarczę zaś, łańcuch i trąbkę srebrną zachowywał tylko przez lat trzy, aż do następnego strzelania, i odda ją potem swemu następcy.

We wszystkich tych uroczystościach mniej więcej czynny udział, u rodziców Karola czułem się prawie jak w domu, z miłą wdzięcznością widziałem usiłowanie całej rodziny [w] uprzyjemnianiu mi pobytu w swym domu. Ich obyczaje proste i skromne zachwyciły i głęboko w sercu swe piętno odbiły. Rozstanie się z nimi było serdeczne. Gdyśmy już wracać do Wrocławia mieli, cała rodzina odprowadziła nas na pocztę czekając chwili naszego odjazdu, a gdy karetka ruszyła i wyjrzałem z okna jeszcze kilkakrotnie widziałem pożegnalne ukłony i powiewanie chustką całej niemal rodziny. Kilka dni spędzonych w tym gronie lubą w sercu zostawiły tęsknotę i bez rzewności dziś ich wspomnieć nie mogę.

Jan z Jasieńca



0100220629

# Spis treści

*Krzysztof R. Mazurski*

<b>Jana z Jasiénca wędrownka w Karkonosze</b> .....	5
Uwagi wstępne .....	5
Pochodzenie i opis formalny rękopisu .....	6
Okoliczności powstania wspomnień i ich autor .....	7
Trasa wędrownki .....	9

*Jan z Jasiénca*

<b>Wycieczka w Góry (Wspomnienia)</b> .....	15
---	----

<b>Ilustracje</b> .....	49
-------------------------	----





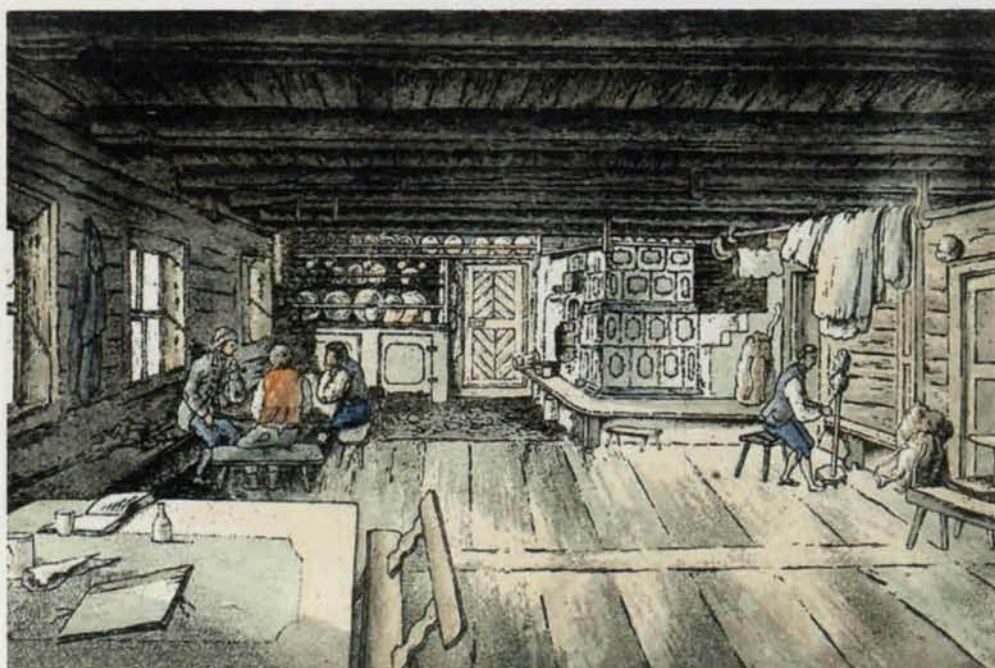
Panorama Jawora od strony południowej, I poł. XIX w., autor nieznany, miedzioryt.  
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Jaworze



Widok na Śnieżkę, L. Richter, litografia z ok. 1840 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Buda Hampla (dziś „Strzecha Akademicka”), L. Richter – staloryt kolorowy z ok. 1840 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



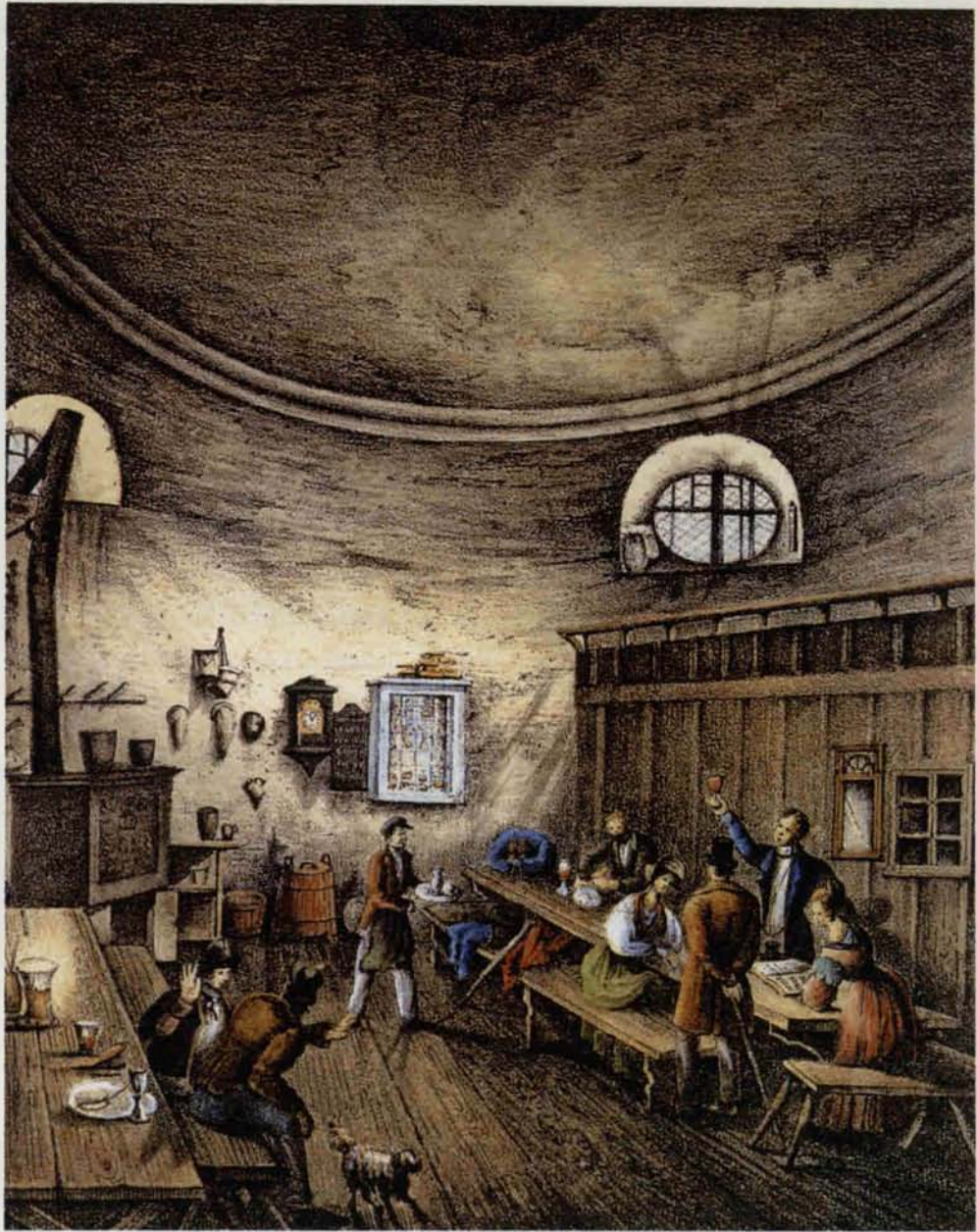
Wnętrze Hampelbaude (dziś „Strzecha Akademicka”), C.L. Rieden, litografia kolorowana  
z ok. 1850 r. Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Kaplica na Śnieżce, Eduard Sachse, litografia kolorowana sprzed 1840 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Wnętrze kaplicy na Śnieżce, Eduard Sachse, litografia kolorowana sprzed 1840 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



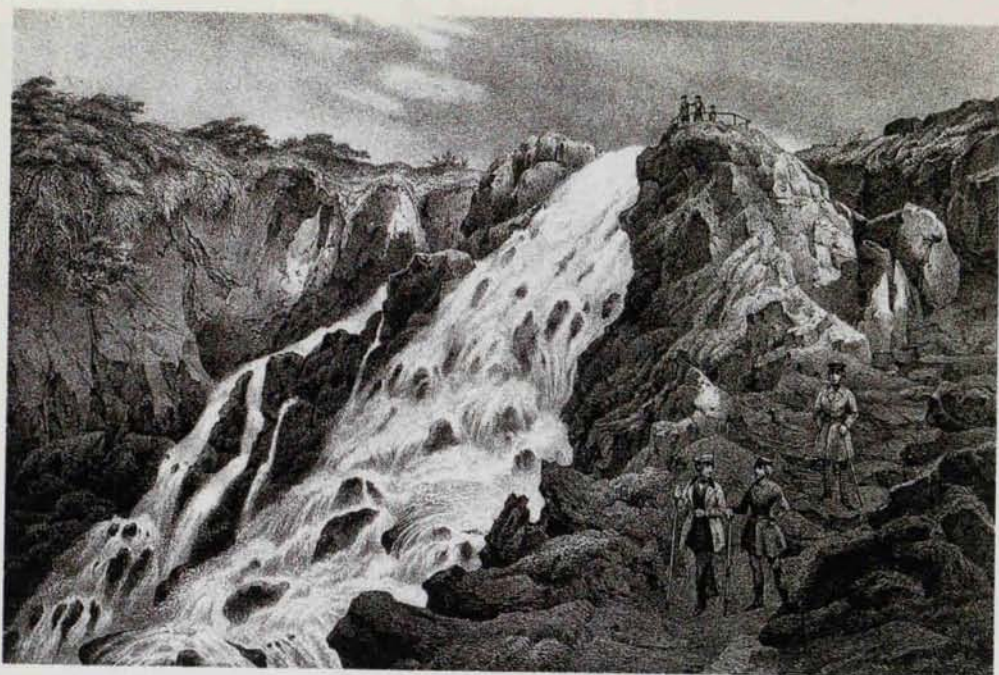
Wnętrze kaplicy na Śnieżce (zamienionej na schronisko), C. Mattis, litografia kolorowana z ok. 1850 r. Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Kaplica na Śnieżce, litografia kolorowana z ok. 1860 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Źródło Łaby, R. Bürger – litografia z ok. 1850 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Wodospad Łaby, staloryt z ok. 1840 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Wodospad Podgórznej, litografia kolorowana z ok. 1850 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



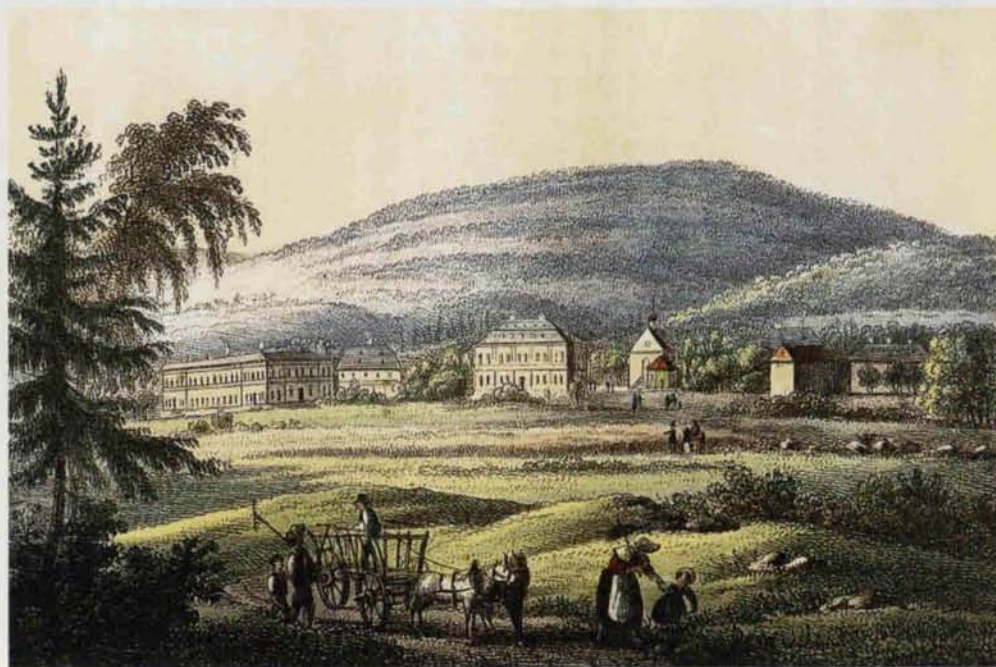
Wodospad Szklarski, E. Knippel, litografia kolorowana z ok. 1860 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Wysoki Kamień, litografia kolorowana z ok. 1860 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Plac Zdrojowy w Świeradowie Zdroju, litografia kolorowana z ok. 1860 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Świeradów Zdrój, litografia kolorowana z ok. 1860 r.  
Ze zbiorów Wojciecha Mencla.



Projekt jest współfinansowany ze środków  
budżetu Województwa Dolnośląskiego

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



**DOLNY  
ŚLĄSK**

[www.umwd.pl](http://www.umwd.pl)



Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu

Województwo  
Dolnośląskie  
Dolny Śląsk



**DOLNY  
ŚLĄSK**

Patron medialny



**DOKiS.pl**

Dolnośląska Kultura i Sztuka  
Agencja Publicystyczna

ISSN 0080-3480  
ISBN 978-83-914519-2-2